

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600

3

(15) 1998

♦ My i Orient ♦ O prof. Tadeuszu Lewickim ♦ O polskich Ormianach ♦ Anegdoty Horacego Safrina ♦ Ostatnia rozmowa z Jerzym Hordyńskim i jego wiersze ♦ W słowniku o Miodoborach, Gologórach i Woroniakach ♦ Stulecie pani Lanckorońskiej ♦ Poezja ♦ Bajka ♦ Sylwetki ♦ Kronika

*W* kancelarii sklepu, który założył mój pra-pra... Mikołaj Jawornicki (nie wiem, ile tych „pra” mu się należy), wisiały na ścianie obrazki z namalowanymi na nich Chińczykami. Chińczycy ubrani byli w kolorowe kaftany i wielkie kapelusze i wykonywali jakieś dziwne ruchy. Po latach dowiedziałam się, że obrazki przedstawiały zbiór herbaty. Natomiast mój pra-pra... przybył do Krakowa z małej wioski na Podolu, gdzie rodzina miała posiadłość. Już nigdy nie dowiem się, co skłoniło Mikołaja Jawornickiego do opuszczenia rodzinnych stron. Musiał być jednak człowiekiem przedsiębiorczym, jeżeli w krótkim czasie stał się rajcą miejskim i przewodniczył kongregacji kupieckiej. A obrazki dostał w prezencie od kupca chińskiego, który przywoził z Chin herbatę.

Kupiec z herbatą przemierzał całą Rosję, narażając się na mnogie niebezpieczeństwa, ale jego herbata była, jak legenda głosi, wspaniała. Obaj, mój pra-pra... i kupiec chiński, byli w tych dawnych czasach jednakowo egzotyczni. Droga z Podola też była najeżona niebezpieczeństwami. I tak Daleki Wschód dla tych na Zachodzie był poznawany przez to, co produkował. Można się było zadziwić wspaniałością jedwabi, pięknem pereł, smakiem kawy i herbaty, niezwykłością licznych przypraw, ale zawsze pozostawała ta tajemnicza i nieznaną reszta, przeobrażająca się w opowieści o wielkiej przygodzie i niezwykłych wydarzeniach. Orient wabił i przerażał. Długo to trwało, zanim przekonaliśmy się, że po drugiej stronie globu ludzie nie chodzą na głowie i nawet jeżeli wiele ich od nas różni, mają te same radości i troski. A tak prawdę powiedziawszy, teraz kiedy z lotnisk startują samoloty i wszędzie można się dostać w ciągu paru czy parunastu godzin, Orient przestaje być odległym Orientem. Zbliża się do nas i my zbliżamy się do niego. Natomiast coraz bardziej tajemnicze i niezgłębione staje się to, co ucieka wraz z przemijającym czasem. I żaden samolot nie przeniesie mnie do czasów, w których mój pra-pra... handlował na krakowskim rynku z chińskim kupcem.

Barbara Czałczyńska

Z głębokim smutkiem przyjmujemy wiadomość o śmierci  
największego współczesnego poety polskiego

## ZBIGNIEWA HERBERTA

urodzonego 29 października 1924 we Lwowie,  
zmarłego 28 lipca 1998 w Warszawie,  
pochowanego czasowo tamże na Cmentarzu Powązkowskim.

Jesteśmy dumni, że pochodzimy z tej samej Ziemi, na której urodził się  
On – Sumienie naszych czasów, Szósty Wieszcz Narodu Polskiego



Andrzej Chlipalski

## MY I ORIENT

Tak się nam Polakom złożyło w dziejach, że rozsiedliśmy się w miejscu Europy – niezbyt dogodnym, prawdę mówiąc – które stało się w średniowieczu granicą między dwoma kręgami chrześcijańskiej kultury. Oba wyrosły z tego samego rzymskiego pnia, ale jego konary rozpostarły się w dwie strony. Jeden rozwinął się i rozkwitł na Zachodzie – to Italia, Francja, Niemcy, na krańcach zaś Iberia (Hiszpania i Portugalia), Brytania i Skandynawia, a także Węgry, Czechy i – Polska. Warto dodać, że po paruset latach ten krąg rozszerzył się – przeskakując Atlantyk – na obie Ameryki, a w przeciwnym kierunku – na koniec świata – do Australii. Drugi konar wygiął się ku Wschodowi, a jego węzłem stało się Bizancjum, czyli Konstantynopol, zwany też przenośnie *drugim Rzymem*, przez Rosjan zaś – *Carogrodem*. Drugim, bo odmiennym, schizmatyckim. Jakby nie dość było inności – stał się w końcu muzułmańskim Stambulem, ale nim to nastąpiło, jego prawosławne gałęzie poszły w różne strony – do Grecji, Macedonii, Serbii i Bułgarii, do Wołoszczyzny i Mołdawii, a wreszcie gałąź najmocniejsza

– na Ruś (co dziś tłumaczy się jako Rosja, Ukraina, Białoruś, dalej i później zaś – Syberia, aż po Pacyfik). I spotkaliśmy się – Polska i Ruś, chrześcijanie zachodni i wschodni – w połowie Podola. Linie graniczną wskazał nam pogański bożek, w małej rzeczce znaleziony. Należał jednak do zachodniego świata<sup>1</sup>.

Za światem bizantyńsko-prawosławnym rozciągał się (i nadal się rozciąga) – a czasem nawet się z nim pokrywał – całkiem inny świat: Orient, świat islamu, z którym przyszło się nam spotykać bezpośrednio wiele razy w historii, na złe i na dobre. Najbliżej więc – choć nie w tym samym czasie – z Tatarami i Turkami, którzy w różnych okresach dziejów, podporządkowawszy sobie najbliższych nam prawosławnych sąsiadów – Ruś-Ukrainę oraz Wołoszczyznę i Mołdawię – stawali się naszymi faktycznymi i groźnymi sąsiadami. W tych właśnie okresach przychodziło nam bronić własnego domu, a może i Europy przed konsekwentnym parciem islamu na zachód. W końcu nie przypadkiem „zaproszono nas” do obrony Wiednia w roku 1683 – byliśmy

wszak doświadczonymi (na własnej skórze) „fachowcami”.

Z Orientem nie tylko wojowaliśmy, także handlowaliśmy na potęgę. Tym bardziej że owe bliskie prawosławne kraje – nie z własnej nieprzymuszonej woli – stawały się niejako *forpocztą* tego Orientu. Nie tylko Turcja lub tatarski Krym, także Mołdawia i Wołoszczyzna, Serbia, Grecja, a także Ruś, przez stulecia podporządkowane Tatarom lub Turkom – to były dla nas drogi na wschód i ze wschodu. Dalej byli Persowie i Arabowie, ale z tymi nasza styczność nie była bezpośrednia, podobnie z Indiami, Chinami, nie mówiąc o Japonii. Chociaż... Ale o tym za chwilę.

Nie można tu pominąć dwóch nacji z Orientu rodem, z którymi nasz związek był (i jest!) szczególnie bliski, choć całkiem różny. Pierwsza z nich to Żydzi, którzy wcale nie z Palestyny do nas przyszli, tylko z odwrotnej strony, z Zachodu, przynosząc tu wszakże swoją orientalną kulturę. Druga to chrześcijańscy Ormianie, lecz i oni dotarli do nas nie wprost ze swojej ojczyzny pod Araratem, lecz z bliższych stron czarnomorskich. Ale i o tym niżej.

Wszystkie związki Polski z Orientem skupiały się, jak w soczewce, na obszarze Małopolski Wschodniej. Stosunki militarno-ekonomiczno-polityczne między tymi dwoma – a może raczej trzema – światami, które gdzieś dalej i wyżej były domeną wielkiej polityki, tutaj określały dzień powszedni i koleje życia ludzi, rodzin, wsi i miast, całej tej krainy. Są to więc nieprzebrane pokłady tematów, eksploatowane wielokrotnie przez wielu specjalistów, spisano o tym wiele tomów. Spójnijmy przeto jedynie dotknąć – w telegraficznym skrócie – niektórych zagadnień, które miały wpływ na naszą historię i kulturę.

## MIGRACJE

Od samego zarania naszych dziejów na polskie ziemie – to znaczy na ziemie już wcześniej zasiedlone przez Słowian zachodnich, którzy nazwali się Polanami, Lędzianami, później Polakami – napływały różne ludy, rozmaite mając po temu powody. Ograniczając nasze zainteresowanie do ówczesnej ziemi czerwieńskiej (wchodzącej jeszcze przez większą część wieku X w skład państwa piastowskiego), możemy uogólnić: wszyscy ci przybysze mieli bezpośredni albo pośredni związek z Orientem.

Najważniejsza, bo najbardziej brzemienista w dalekosiężne (po dziś dzień) skutki była migracja mieszkańców Rusi – Słowian wschodnich (z którymi stykaliśmy się bezpośrednio gdzieś na obszarze Podola – dokładnych granic wszak wtedy nie było), jednak nękanych od niepamiętnych czasów przez ludy z głębi Azji – Chazarów, Pieczyngów, Połowców, a wreszcie Mongołów-Tatarów. Przez wieki przeto żywioł ruski przesunął się ku zachodowi, nakładając się na substancję zachodniosłowiańską.

Inne powody – poszukiwanie terenów do wypasu bydła – powodowały migrację wołoską<sup>2</sup>. Lud ten osiadał w Karpatach wschodnich, wnosząc swoje nazewnictwo miejscowości i gór oraz wiele pierwiastków zaczerpniętych ze sztuki Orientu do przyszłej kultury huculskiej.

Wspomniani już Ormianie i Żydzi przybyli z dalsza, lecz na stałe wrosli w krajobraz polski, i choć trudno stawiać pomiędzy nimi znak równości – jedni i drudzy odcisnęli swoje piętno w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym naszego kraju. Wykorzystując swoje narodowe talenty, wykonywali zawody, których nie bardzo chcieli się imać Polacy (głównie handel – także międzynarodowy, banki); tworzyli swoje orientalne rzemiosło i sztukę.

O Ormianach pisze w tym numerze A. Pisowicz, będzie też o nich mowa w rozdziałach o handlu i sztuce. Osiadali przeważnie na Pokuciu (w Kutach!) oraz we Lwowie, a także w Zamościu. Żydzi, zastając w Polsce tolerancję i znajdując pole do działania, lokowali się w naszych miastach, dochodząc z czasem do wielkiej liczebności. W pierwszej połowie naszego wieku w niektórych miasteczkach wschodniej Polski stanowili ponad połowę ludności<sup>3</sup>.

Były też w staropolskim Lwowie i Małopolsce Wschodniej inne nacje – z Bałkanów rodem – które z trójstronną korzyścią pełniły rolę pośredników i łączników między Polską a Orientem: Wołosi, Serbowie, Grecy, z czasem jednak wtopili się w miejscową społeczność. Zostały po nich tylko nazwy ulic (Ormiańska, Serbska, Boimów, Kampiana) oraz tu i ówdzie zniekształcone nazwiska. Ale to dla nich gospodar Mohyla ufundował we Lwowie prawosławną cerkiew, zwaną *wołoską*, zaś osiadły we Lwowie Grek Korniakt zbudował przy niej renesansową dzwonnice.

Trzeba wspomnieć jeszcze o dwóch małych społecznościach o orientalnych korze-



niach: polskich Tatarach, osiadłych niegdyś w Haliczu, oraz Karaimach – w tymże Haliczu (a także Łucku na Wołyniu).

## WOJNY

Pod znakiem wojen – szczególnie krwawych i okrutnych – z Tatarami i Turkami, a także sprzymierzonymi z nimi w różnych okresach Kozakami i Wołochami, stała cała niemal nasza historia przedrozbiorowa, i to wcale nie dopiero od czasu naszego wejścia na ziemie ukraińskie w drodze unii z Litwą. Powtarzające się najazdy tatarskie przeżywalibyśmy wszak od XIII wieku (dotarli wtedy aż pod Legnicę), tureckie nieco później<sup>4</sup>. Ich rozpęd jednak stępiło stworzenie silnego przedpoła obronnego, jakim stało się odzyskane przez Kazimierza Wielkiego Podole, uzbrojone przez następne stulecia linią kilkudziesięciu zamków, grodów i fortec – od Zbaraża po Okopy św. Trójcy.

Najazdy tureckie rozpoczęły się od czasu, gdy Porta Otomańska przekroczyła Bosphor, zdobywając grecki Konstantynopol (1453), a równocześnie podporządkowała sobie kolejno wszystkie kraje bałkańskie, aż po Karpaty i środkowy Dniestr (w Albanii, Kosowie i częściowo Bośni islam od tamtego czasu zakorzenił się na stałe,

Bitwa pod Wiedniem. Rycina z lat 60. XIX w. wg obrazu z kolegiaty żółkiewskiej. Fot. Z. Malinowski, wg J.T. Petrus, *Żółkiew i jej kolegiata*



a skutki tej „inności” odczuwa Europa u schyłku XX wieku). Wojny z Turcją powtarzały się raz po raz – mieli blisko, wszak Chocim był w owym czasie turecką fortecą – nawet fragment naszego terytorium był przez kilkadziesiąt lat okupowany (1672–99). To właśnie wtedy zbudowali Turcy minaret w Kamieńcu Podolskim, przy katedrze zamienionej na meczet.

Apetyty Turcji, tak jak wcześniej Tatarów, sięgały dalej niż Polski, Węgier czy podobnie nieodległej Italii, lecz także dalszych krajów europejskich. Stąd obrona Wiednia w 1683 r. była wspólnym interesem Europy i Polski (nic więc nowego pod słońcem...). Trzeba wszakże dopowiedzieć: nigdy Polska nie była w tych wojnach agresorem, a ziemie wschodnie – zwłaszcza południowo-wschodnie były tym prawdziwym przedmurzem, chroniącym resztę Polski, a może i Europę, przed ciągłą agresją ze wschodu i południa. Historyczna rola pełniona przez tę ziemię była źródłem nieustannych cierpień tamtejszej ludności polskiej i ruskiej.

Mówiąc więc o wojnach z Turcją i Tatarami nie można pominąć dramatycznego szczegółu: *brank* – porwania ludzi z najeżdżanych, grabionych i pustoszących okolic. Dla wykupu niewolników do naszego kraju zakon trynitarzy, którego metropolią w Polsce stał się Lwów, a w całym kraju utworzono kilkanaście placówek trynitarских, których zadaniem było gromadzenie funduszy na *redempcje*, czyli wykupy. W tym celu w latach 1688–1783 na teren państwa tureckiego i chanatu krymskiego udawały się wyprawy, które za odpowiednie kwoty odbierały porwanych mężczyzn, kobiety i dzieci<sup>5</sup>.

## HANDEL

Jak powiedzieliśmy na wstępie, korzystną stroną naszego położenia w Europie (obok wszystkich niedogodności) była możliwość utrzymywania bezpośrednich stosunków handlowych z Orientem – czy jak przyjęło się określać na Zachodzie – z Lewantem. Pojęcie *Lewant* dotyczyło krajów i nacji wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, do których docierali kupcy z Zachodu i osiadali ich pośrednicy. Kupcami tymi byli Włosi (Wenecjanie, Genuańczycy) i Katalończycy, a ich pośrednikami byli Grecy bizantyjscy (czyli z Konstantynopola i innych miast tego rejonu), Ormianie, wschod-

ni Żydzi, Turcy, Persowie, Arabowie, a nawet Hindusi. Kolonie i faktorie włoskie były rozmieszczone w Perze (dzielnicy Konstantynopola), na Krymie (największa w Kaffie), ale ich pośrednicy byli także w Kamieńcu Podolskim i Lwowie – stąd te miasta też leżały w orbicie Lewantu. Z jednej strony drogi handlowe Włochów prowadziły po towary przez Turcję lub Morze Czarne do Gruzji, a dalej poprzez Morze Kaspijskie do Buchary i Indii. W drugą stronę owe towary wschodnie wieziono przez Lwów do Krakowa, Wrocławia i dalej, do Norymbergi, a nawet do portu w Brugii we Flandrii. Innym kierunkiem była Moskwa.

Upadek Konstantynopola w roku 1453 położył kres tej sieci handlowej. Dla Lwowa było to oczywiście bardzo bolesne. Z czasem jednak nawiązały się nowe stosunki, a to dzięki Ormianom, których ekspansja turecka zmuszała do przesiedlania się z ośrodków czarnomorskich na północ, m.in. do Mołdawii i Wołoszczyzny, a także do Kamieńca Podolskiego i miasteczek Pokucia, do Lwowa i Zamościa. Lwów stał się wtedy najważniejszym ośrodkiem ich życia religijnego i społecznego oraz ich kultury. Głównie ci właśnie Ormianie, znający język turecki, podjęli się na nowo handlu z Orientem, przede wszystkim z Turcją, ale także Persją i całym Bliskim Wschodem. Wyprawy podejmowali także kupcy greccy, serbscy, wołoscy i – polscy.

Były dwie drogi kupieckie ze Lwowa w kierunku Lewantu: tzw. droga mołdawska – przez Halicz, Stanisławów, Kołomyję, Czerniowce – do Białogrodu (Akermanu), portu nad Morzem Czarnym. Druga droga, tzw. tatarska, prowadziła przez Gliniany, Złoczów, Tarnopol, Husiatyn i Kamieniec Podolski – w kierunku na Krym. Do Azji Mniejszej jeżdżono przez Sztambuł, potem morzem do Bursy i Smyrny (dzisiejszego Izmiru). Głównymi towarami przywożonymi ze Wschodu były obok egzotycznych *korzeni* i *małmazji* – ozdobne wyroby tekstylne, metalowe, złotnicze. Wywożono w zamian sól, wosk, bursztyn, skóry.

## SZTUKA

Wpływ Orientu na kulturę artystyczną naszego kraju w czasach staropolskich – szczególnie jego południowo-wschodniej części – był zawsze znaczny. Sprawily to ożywione i bezpośrednie kontakty handlowe (oraz nie mniej wojenne!), o których wyżej była mowa. Trzeba jednak pamiętać,

że w tej dziedzinie Orient ma dwie epoki: *Orient chrześcijański* – to Armenia, która jako samoistne państwo przestała istnieć w 1198 r. (dla nas był to jeszcze wiek dziecięcy), oraz cesarstwo bizantyńskie, którego koniec wyznacza zdobycie Konstantynopola przez Turków w roku 1453. Od tego czasu mamy *Orient mahometański* (lub *islamski*). Jest jednak ciekawe, że nasz kontakt ze sztuką islamu dokonywał się dzięki Ormianom i Grekom, a więc tym właśnie, którzy za sprawą Turków utracili swoje wolne państwa.

Co nam pozostało z epoki Orientu chrześcijańskiego? Przede wszystkim lwowska Katedra Ormiańska, zbudowana w latach 1356–63, ale przez Włocha nazwiskiem Dorchi, urodzonego na Krymie, jednak respektującego tradycyjne kanony budownictwa Kościoła *gregoriańskiego*<sup>6</sup>, którego najważniejszym obiektem była katedra w Ani w Armenii, a także kościoły ormiańskie w krymskiej Kaffie.

Do Lwowa i innych miast pld.-wsch. Polski przybywali – za kupcami – liczni ormiańscy artyści i rzemieślnicy. Toteż wpływy sztuki, która miała swe korzenie w Armenii i na Krymie, odnajdujemy także w nie ormiańskich kościołach i kamienicach lwowskich: kamieniarza (charakterystyczne ornamenty roślinne), rzeźba, polichromie, obrazy (np. *Madonny* o charakterze bizantyńskim, nie mające żadnego związku ze sztuką ruską. Przykładem: obraz MB Dominikańskiej ze Lwowa – obecnie u dominikanów w Gdańsku, a także prawdopodobnie obraz MB Częstochowskiej).

Wpływ sztuki Orientu na polską kulturę artystyczną dotyczy jednak głównie okresu drugiego – mahometańskiego. Co ciekawe jednak: większy udział w naszym przyswajaniu sztuki z Orientu ma Persja niż Turcja, chociaż pośrednikami byli obok Ormian i Greków – także Turcy. Sprowadzano stamtąd wyroby tekstylne i hafty, namioty, kołnierze (perskie dywany!), wyroby metalowe i złotnicze (naczynia, ozdoby), broń, zbroje, rzędy, kurdybany, ceramikę. Jeżdżono po nie przede wszystkim do Sztambułu, Bursy (słynnej przede wszystkim z wyrobów złotniczych i tkackich), Angory (Ankary) oraz do bliższego Adrianopola.

Wzrastające jednak zapotrzebowanie na wymienione artykuły, a zarazem podaż siły roboczej i talentów w kręgach głównie ormiańskich sprawiło, iż w kraju zaczęły powstawać warsztaty rzemieślnicze, proponu-



Gabinet prof. Smogorzewskiego we Lwowie – wg W. Frantz, *Odlamki wspomnień*.

jące nie gorsze jakościowo wyroby w coraz bardziej docenianym guście orientalnym. Miejscami, gdzie takie manufaktury powstawały, były głównie miasta wschodniej Małopolski – m.in. Lwów, Brody, a także Zamość.

Osobnym zagadnieniem jest wpływ Orientu na polski ubiór szlachecki. Najpierw działały wzory rusko-bizantyńskie i mongolsko-perskie<sup>7</sup>. Zawdzięczamy im żupany i kontusze, a także kołpaki. Orientalny w charakterze ubiór polski (głównie męski) rozwijał się stopniowo, a obowiązywał w wiekach XVI i XVII, a nawet XVIII i kontrastował (długie szaty) z ubiorem zachodnim. W stroju kobiecym główną rolę odgrywały tkaniny wschodnie.

Ozdobne pasy jedwabne, zwane u nas tradycyjnie *śluckimi*, rozpowszechniły się w Polsce w XVII w. i były pierwotnie pochodzenia perskiego i tureckiego (importowane oczywiście przez Ormian). Potem były produkowane w Polsce, głównie w Ślucku na Wołyniu. Ostatnim przejawem wpływu Orientu w tej dziedzinie była produkcja *makał buczackich* w wytwórni założonej w Buczaczu w XIX w. i działającej do II wojny światowej<sup>8</sup>.

## ZAKOŃCZENIE

Wypadałoby jeszcze wspomnieć o pozahandlowych i pozawojennych kontaktach naszych przodków z Orientem. Udawali się w tamte strony Polacy także w innych celach. Wspomnijmy przynajmniej dwóch – nie licząc uczonych orientalistów, których kierowały tam względy zawodowe.

Jezuita o. Michał Boym (ok. 1614–1659) – syn lwowskiego lekarza i wójta, wnuk rajcy i fundatora niezwyklej kaplicy Ogrojcowej (Boimów) przy lwowskiej katedrze łacińskiej – wyjechał w 1643 r. do Chin jako misjonarz i tam po kilkunastu latach pracy zmarł. O jego losach i zasługach napiszemy w przyszłym roku z okazji 340. rocznicy jego śmierci.

Hr. Karol Lanckoroński, właściciel dóbr rozdolskich, historyk i mecenas sztuki<sup>9</sup>, założył się w badaniach zabytków na południu Małej Azji (dziś w Turcji). Kierował on głośną swego czasu austriacką wyprawą archeologiczną, która udała się tam w roku 1884, aby rozpoznać pozostałości epoki hellenistycznej i rzymskiej. Jemu więc zawdzięcza nauka pierwszy wyczerpujący opis zabytków Antalii, Perge, Aspendos i kilku innych starożytnych miast, często odwiedzanych dziś przez polskich turystów.

\* \* \*

Ostatnie dwa wieki odmieniły nasze relacje z Orientem. Ustały wojny z Turcją, a wrogość zastąpił przyjazny stosunek Turków do Polaków. Tatarów krymskich pochłonęło carskie imperium – podobnie jak nasze ziemie ukraińskie. Lwów i cała Małopolska znalazły się pod zaborem austriackim, a jedyny ich kontakt z Orientem ograniczył się do stałego napływu perskich dywanów, charakterystycznego elementu mieszkań ziemiańskich, inteligentkich i mieszczańskich.

Na Uniwersytecie Lwowskim powstała katedra, a później Instytut Orientalistyczny z kilkoma katedrami, zawiązało się Polskie Towarzystwo Orientalistyczne, wydawano *Rocznik Orientalistyczny*, a Lwów stał się dzięki temu głównym polskim ośrodkiem badań nad Orientem.

Szczególne, dramatyczne „związki” z orientalnym Wschodem zostały zadziergnięte w czasie II wojny światowej, gdy setki tysięcy Polaków z Ziemi Wschodnich (a także przebywających tam uciekinierów z centralnej Polski) deportowano do mużułmańskiego, choć zateizowanego Kazachstanu. Po kilku latach młodzi, wraz z armią gen. Andersa, opuścili *dom niewoli* przechodząc przez Persję, Irak i Syrię do Palestyny i Libanu. Pozostało tam wiele polskich grobów. Przed żywym było – Monte Cassino.

<sup>1</sup> O *posagu Światowida ze Zbrucza* czytaj w CL 3/96. Przebiegające w tym rejonie rozgraniczenie obszarów Słowiańszczyzny zachodniej i wschodniej – władztwa Piastów i książąt ruskich – potwierdziły przekazy historyczne. Konsekwencją *graniczności* tego rejonu był ugruntowany już w średniowieczu zasięg cywilizacji zachodniej, wynikający z przynależności Polski do kręgu kultury chrześcijaństwa zachodniego. Wymiar współczesny tego rozgraniczenia utrwalił wiek XIX i pierwsza połowa XX – jest ono wyczuwalne w różnych przejawach po dzień dzisiejszy, pomimo zaburzonych relacji geopolitycznych.

<sup>2</sup> Patrz CL 3/97, *słownik*.

<sup>3</sup> Ormianie jako chrześcijanie, potem nawet katolicy – zachowując własną tradycję i obrządek – spolonizowali się z biegiem czasu całkowicie, podczas gdy wśród o wiele liczniejszych Żydów jedynie część elit uległa asymilacji – na przeszkodzie stała odmienność religii i mentalności.

<sup>4</sup> W tym numerze można przeczytać opowiadanie (bajkę) osnute na tle oblężenia Lwowa przez Turków w 1672 r., a o oblężeniu tego miasta przez Kozaków i Tatarów w 1648 r. – w następnym, specjalnym (rocznicowym) numerze CL.

<sup>5</sup> Zakon Trynitarzy powołano do życia we Włoszech w XII w. z przeznaczeniem do wykupywania niewolników z rąk mahometańskich – tam głównie od Arabów. Do Polski przybyli Trynitarze z Hiszpanii. Główną ich siedzibą we Lwowie był

kościół i klasztor przy ul. Krakowskiej, dzisiejsza cerkiew Przemienienia, drugą – kościół św. Mikołaja. Placówka w Krakowie to dzisiejszy kościół Bonifratrów przy ul. Krakowskiej na Kazimierzu. Zakon Trynitarzy został w Polsce rozwiązany przez Austriaków w r.1783. Patrz także artykuł w „Semper Fidelis” nr 2–3/1991: Andrzej Chlipalski, *Trzy wcielenia zapomnianego lwowskiego kościoła*. O wykupie jeńców z rąk tureckich traktuje popularna niegdyś książka dla młodzieży Władysława Łozińskiego: *Oko Proroka*.

<sup>6</sup> Ortodoksyjny Kościół ormiański istnieje od IV w. po Chr. i nazywany jest *gregoriańskim* (od św. Grzegorza Oświeciciela). Od pocz. VI w. jego doktryną jest *monofizytyzm* (i nie ma żadnego związku z o wiele młodszym prawosławiem. Natomiast Ormianie polscy od r.1630 są *unitami* – katolikami obrządku ormiańskiego). Rysunek rekonstrukcyjny lwowskiej katedry ormiańskiej w najdawniejszym jej kształcie zamieściliśmy w CL 1/98.

<sup>7</sup> Chodzi o Mongołów, których imperium obejmowało cały Środkowy Wschód, od Indii po Krym.

<sup>8</sup> Zainteresowanych problematyką wpływu sztuki wschodniej w Polsce można polecić fundamentalne dzieło w tym zakresie: Tadeusza Mańkowskiego *Orient w polskiej kulturze artystycznej* (wyd. ZN im. Ossolińskich, Wrocław–Kraków 1959).

<sup>9</sup> patrz CL 1/95 i 4/97

## Archiwum

### MAŁMAZJA

Małmazja, czyli „wino małmaskie”, tak nazywano w Polsce wina greckie i w ogóle południowe, tj. nie madziarskie, czyli węgierskie, ani reńskie i francuskie, ale: zabałkańskie, sycylijskie, kanaryjskie i hiszpańskie. Nazwa pochodzi od miasta Malwazyi w Morei greckiej. Najwięcej małmazji dostarczały wyspy Kandja (Kreta), tudzież okolica miasta Napoli di Malvasia w Morei. Polacy przekładali małmazję nad wina zachodniej Europy. *Volumina legum* mówi: „Małmazji we Lwowie zawsze wielki dostatek bywał, a skład małmazjowy nigdzie indziej nie miał być jak we Lwowie”. Toteż Wł. Łoziński w swoim dziele

„Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie” powiada, że w XVI w. Lwów był jednym wielkim składem małmazji. Wszyscy tam prawie handlowali lub szynkowali małmazją. Kufa jej w r. 1580 kosztowała 50 talarów. Skądinąd wiemy, że w r. 1637 za garniec małmazji płacono trzy ówczesne złote polskie, zatem znacznie drożej od węgryzna. Do przedniejszych win południowych należały: muszkatel, ipsyma, alikant, latyka i kocyfał, dostarczane przez kupców lwowskich na wszystkie stoły domów możniejszych w Polsce.

Zaczerpnięte z „Encyklopedii Staropolskiej” Zygmunta Glogera, 1900–1903 (reprint Warszawa, 1972). Zachowano oryginalną pisownię.



Alicja Małecka

# PROFESOR TADEUSZ

Wspomnienie  
o Profesorze Tadeuszu Lewickim  
(1906–1992)



Takim właśnie mianem: *Profesor Tadeusz* grono jego uczniów i współpracowników, do których się zaliczałam, zwykle najczęściej go określać. Myślę, że w pewnym stopniu charakteryzuje to osobowość, szczególnie *genre*, sposób bycia wybitnego orientalisty-arabisty, historyka, a po części – podróżnika, i w różnych okresach życia – obrońcy Ojczyzny. Reprezentował wiele dziedzin i specjalności naukowych. Przy tym niełatwo można by dziś spotkać kogoś tak nietuzinkowego, pełnego fantazji, osobistego uroku, o żywym temperamencie i błyskotliwym umyśle. Był profesor Lewicki typem prawdziwego uczonego, a także eru-

dytą rozmiłowanym w dziedzinie wiedzy, którą się zajmował. Zarazem człowiek z *krwi i kości*, typowy lwowianin w *gorącej wodzie kapany*, otoczony nimbem tajemniczego bohaterstwa, związanego z walką o wolność Ojczyzny, o których to sprawach w powojennych latach mówiło się szeptem i rzadko... W bieżącym 1998 roku mija szósta rocznica śmierci Profesora; w styczniu br. ukończyły 92 lata.

Kiedy wracam myślami do lat długiej znajomości z Profesorem, sięgającej moich studenckich czasów, widzę jego szczupłą sylwetkę o żywych ruchach, bystry wzrok i niemal nieodłączny, pogodny uśmiech, przy „szelmowskim” często spojrzeniu. Profesor napomykał nieraz o domieszce krwi ormiańskiej w jego rodzinie; nie wiem na pewno, czy tak było, czy żartował opowiadając jakąś anegdotkę – faktem jest, że istniało pewne podobieństwo rysów<sup>1</sup>. Równie dobrze można go było wziąć za ascetycznego beduina, zwłaszcza wtedy, gdy w młodych latach, w beduińskim stroju, przemierzał pieszko Saharę, dążąc wraz z pasterzami wielbłądów do Trypolitanii. Ten pierwszy kontakt ze światem arabskim wpłynął zasadniczo na późniejsze zainteresowania i badania naukowe Profesora.

## Człowiek, uczony, przyjaciel

Przystępując do pisania niniejszych wspomnień, miałam nie lada problem: czy określić Profesora jako typowego naukowca, świetnego wykładowcę ogromnie lubianego przez młodzież, znanego w świecie orientalistę – w szczególności arabistę i afrykanistę, historyka, czy też podróżnika – w młodości na pewno poszukiwacza przygód, w latach późniejszych uroczego, choć czasem surowego zwierzchnika? A może – jednego spośród słynnych „Orląt Lwowskich”, patriotów, partyzantów, powstańców, żołnierza Armii Krajowej, internowanego w niemieckim oflagu, później związanego z armią Andersa? No cóż, był po trosze każdą z tych postaci.

W różnych okresach jego bogatego, nie zawsze łatwego życia zdarzało się, że okoliczności wymagały podjęcia nie tylko jednego zadania lub funkcji. Nigdy nie odmawiał, działanie było jego żywiołem, pasją życiową. Wesoły, elokwentny, nie opowiadał zawsze wszystkiego o sobie. I tak „umknęło” nam, jego słuchaczom i współpracownikom, wiele ważnych spraw z jego

biografii – dowiedzieliśmy się o nich dopiero po jego śmierci. Ogromnie tego żałuję.

Ten światowej sławy uczyony odznaczał się pełną prostotą bezpośredniością. Sądzę, że wybaczyłby mi dzisiaj Profesor (bo miał poczucie humoru) ujawnienie drobnego, lecz charakterystycznego incydentu sprzed wielu lat: Arabistyka krakowska, której profesor Lewicki był szefem, oczekiwała wtedy jakiegoś ważnego przedstawiciela świata nauki z zagranicy. Swoją przyjazd zapowiedział w ostatniej chwili. Dysponowaliśmy wówczas skromnymi warunkami, a na domiar złego woźna, która miała posprzątać salę, zachorowała. Profesor przyszedł pośpiesznie, powiadamiając o sytuacji. Było już późne popołudnie, wszyscy wyszli, ja tylko coś jeszcze kończyłam. Podłoga po całodziennym ruchu, przy deszczowej pogodzie – okropnie zabrudzona, krzesła i stoliki w nieładzie. Profesor bez zmruczenia oka zakrzętała się, przy pomocy znalezionych kawałków papieru zaczął czyścić podłogę, ja z drugiej strony... Szybko przygotowaliśmy przyniesioną przez Profesora kawę, ciasteczka – i właśnie zjawił się oczekiwany gość. Usunęłam się dyskretnie, a Profesor wystąpił jako poważny, zaangażowany w ksiązkach zwierzchnik instytucji naukowej. Już wtedy mi zaimponował, a cóż dopiero, kiedy po pewnym czasie dowiedziałam się od znajomego, który był razem z Profesorem w Powstaniu Warszawskim, że tak samo był niezastąpiony i zaradny przy budowaniu barykad, czy też przy tak trudnym zdobywaniu dla siebie i innych podstawowych zapasów żywności.

Liczne podróże do krajów Orientu (i nie tylko tam), chłonny umysł, towarzyskie usposobienie, zapewne w znacznym stopniu przyczyniły się do tego, że wykłady uniwersyteckie profesora Lewickiego – obok głębokiej znajomości rzeczy – odznaczały się barwnością i malowniczością. Świat arabski przez niego wyczarowany w monologu, bez przesady lśnił wszystkimi barwami Orientu. W czasie wykładów z zakresu historii czy kultury ludów Bliskiego Wschodu, obok wnikliwej analizy problemu, podania faktów i osadzenia ich w epoce, zdarzały się nieoczekiwane, lapidarne stwierdzenia, stanowiące świetną pointę. Kiedyś, gdy była mowa o długotrwałych walkach dwóch plemion na tle religijnym, w których w istocie chodziło o pastwiska – Profesor wypowiedział swoją refleksję: *w końcu zawsze chodzi o pastwiska...*

Profesor Lewicki przez kilkadziesiąt lat był duszą krakowskiej arabistyki. Prywatnie był „kopalnią” anegdot, często zaczerpniętych z własnych, bogatych wspomnień, pełen humoru i życiowej werwy. Trwale pozostaną w pamięci wielu osób systematycznie, do końca życia podtrzymywane przez Profesora, uroczyste spotkania z okazji imienin, urodzin lub w innych ważnych okolicznościach. Przyjęcia te, urządzone przez państwa Lewickich w ich domu nie tylko dla szerokiego grona znajomych, ale również dla pracowników, odznaczały się wystawnością, a przede wszystkim serdecznością. Był to typowy „dom otwarty”, zawsze gościnny. Kiedy gromadzono się z ważniejszej okazji, krążyła wokół piękna *Księża Gości*.

### Oko w oko z szamanem

Na jednym z takich spotkań, niedługo po powrocie prof. Lewickiego z Senegalu, dokąd był zaproszony, usłyszeliśmy z jego ust autentyczną, chwilami przerażającą i niemal nieprawdopodobnie brzmiącą przygodę, jaka mu się tam przytrafiła. Profesor, zawsze opanowany i na wesoło traktujący trudne często koleje swego życia, tym razem nie ukrywał silnego wrażenia, jakie to zdarzenie na nim wywarło. A oto opowieść: Profesor Lewicki przebywając w Senegalu wybrał się do odległej miejscowości na południu kraju. Jego towarzyszami podróży byli kierowca samochodu i czarnoskóry *totumfacki* Ernest, od dawna pragnący odwiedzić swoją rodzinę w tej właśnie dalekiej wiosce. Wyprawa odbyła się dzięki jego inicjatywie i namowom. Wyjaśnił, że jest krewnym króla wioski, a zarazem jej kapłana, czy raczej *szamana*. Kiedy dotarli w tamtą stronę, Ernest zastanawiał się, w którą ścieżkę w gęsto zadrzewionym terenie skręcić, bo już dawno tam nie był. I tak nieoczekiwanie wtargnęli do *świętego gaju* (nic o tym nie wiedząc) i znaleźli się w miejscu, do którego nikomu wchodzić nie wolno pod groźbą świętokradztwa. Pojawił się zaraz wioskowy szaman z surową miną, za nim jego „świta” i inni tubylcy w groźnej postawie, otaczając coraz ciśniejszym kołem intruzów. Ci, nie wiedząc, o co chodzi, ale zdając sobie sprawę z niespodziewanego zagrożenia, wpadli w popłoch. Kapłan-szaman – przecież ktoś bliski Ernestowi – milczał z zagadkowym wyrazem twarzy. Wreszcie udał się na krótką naradę z kilkoma tubylcami, po czym wyjaśnił przestraszo-

nym „gościom”, w czym zawinili i jaka to poważna sprawa. Nie pomogło tłumaczenie, że zrobili to niechcący. Prawdopodobnie obawiano się zemsty obrażonych bóstw, jakiegoś kataklizmu lub nieurodzaju. Jak temu zaradzić, jak przeprosić? Cóż, prawdopodobnie powinni być złożeni w ofierze... Król nie mógł sam zdecydować, kazał więc czekać i znów się oddalił. Czekali kilka godzin, zbliżał się wieczór, zły nastrój się nasilał. W końcu zdecydowali, że spróbują ucieczki. Tak się stało: z duszą na ramieniu odjechali bez słowa. Przez całą długą drogę powrotną jechali pośpiesznie, obawiając się pościgu. Kiedy wreszcie dotarli bezpiecznie do Dakaru, profesor Lewicki odprężył się i całe zajście zaczął traktować jak emocjonującą przygodę. Tu i ówdzie się nią „pochwalił”, dziwiąc się, że nie wywołuje oczekiwanego oddźwięku. Zwierzył się wtedy znajomemu profesorowi – specjalście od tamtejszych realiów – który poważnie go ostrzegł przed lekceważeniem sprawy. Opowiedział przypadek pewnego francuskiego profesora, który znalazł się w podobnej sytuacji i całkowicie ją zbagatelizował. Przed zaplanowanym powrotem do Francji – zmarł nagle w niewyjaśnionych okolicznościach. Tu słuchaczom zapiera dech, ale profesor Tadeusz spokojnie kończy: niedługo po tej rozmowie pojawił się u mnie „pośrednik”, wysłany z tamtej, odległej miejscowości południowo-senegalskiej. W poufnej naradzie dobili targu, ustalając równowartość koniecznej ofiary przebłaganej dla obrażonych bóstw – na... jedną kożę od osoby. Okazało się także, że można nawet przesłać sumę – przekazem pocztowym. Tak też Profesor uczynił, zastanawiając się przy tym, jak oto niekiedy nowoczesność wkracza w dawne obyczaje i tradycje!

Taki był styl Profesora. Opowiadał żywo, barwnie, ale zawsze rzeczy prawdziwe.

## Etapy życia

Jest rok 1919. Trzynastoletni zaledwie chłopak, żywy jak iskra, przesiąknięty wyniesionymi z domu<sup>2</sup> patriotycznymi ideami, porwany powszechnym wówczas zrywem wolnościowym Polaków, przyłącza się do grupy lwowskich Orłąt – do tych dzieci, broniących polskiego Lwowa przed ukraińskimi nacjonalistami. Rodzinny Lwów – mimo zmiennych kolei późniejszego życia i różnorodnych przywiązań – pozostał w jego sercu zawsze na pierwszym miejscu.

Niejako potwierdzał to typowo lwowski akcent, sposób mówienia, którego Lewicki nie pozbył się do końca życia. Dlaczego miałby się pozbywać? – stanowił wszak jego wielki, niezaprzeczalny urok. I jeszcze jedno znamienne potwierdzenie tego sentymentu: gdy w roku 1986 odbierał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego, powiedział, że ceni go sobie szczególnie, gdyż uważa tę uczelnię za spadkobierczynię swego Uniwersytetu we Lwowie. A wiemy, że nie brakowało mu tytułów naukowych i wyróżnień.

Kolejne ważne etapy lwowskiego okresu życia Tadeusza Lewickiego to ukończenie VIII Gimnazjum Realnego im. Kazimierza Wielkiego, matura w 1925 r. i podjęcie studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Ich przebieg nie był jednolity – i to nie z powodu studenckich zaniedbań. Rodzinne tradycje zaprowadziły go zrazu na studia prawnicze. W 1928 r. udał się do Paryża, gdzie kształcił się w naukach politycznych i językach wschodnich – w przewidywaniu kariery dyplomatycznej w krajach muzułmańskich. W czasie kilkumiesięcznej podróży do Algierii i przebywania w środowisku arabskim – już wówczas – najwyraźniej połąkł bakcyła Orientu, dobrze znanego prawdziwym badaczom Bliskiego Wschodu.

Tak się składało, że każdy kolejny etap pobierania nauk, a później rozwijania nabytej specjalizacji, wiązał się dla młodego naukowca z jakimś znanym nazwiskiem profesorskim, z liczącą się w świecie naukowym postacią, która stawała się dla Tadeusza Lewickiego wzorem i przyjacielem do końca życia. Takim był arabista, dawny dyplomata z carskiej Rosji, profesor Zygmunt Smogorzewski. Główną domeną jego zainteresowań naukowych była muzułmańska sekta *ibadytów* (której Lewicki już w krakowskim okresie swego życia również poświęcał wiele uwagi). Pod kierunkiem tegoż profesora podjął Lewicki studia orientalistyczne po swoim powrocie do Lwowa, rezygnując z kontynuowania prawa. Języki semickie uzupełniał na Wydziale Teologicznym, u znanego biblisty i hebraisty, ks. profesora Aleksego Klawka. I z nim nawiązał z czasem przyjaźń, która przetrwała II wojnę, trudny czas odbudowywania polskiej orientalistyki, i nie ustała aż do śmierci księdza.

Jako uczeń i asystent prof. Smogorzewskiego, potem młody naukowiec, później profesor Lewicki obronił pracę doktorską

z zakresu historii Afryki Północnej w roku 1931. Z końcem tego roku Smogorzewski niestety umiera, co powoduje likwidację Katedry Orientalistyki na lwowskim Uniwersytecie. Z pomocą jednak młodemu uczonemu przyszedł inny autorytet naukowy humanistyki lwowskiej, profesor Konstanty Chyliński, który zaproponował mu pracę w kierowanej przez siebie Katedrze Historii Starożytnej UJK. Ten nowy okres życia dra Tadeusza Lewickiego zaowocował rozbudzeniem zainteresowań historycznych, tak silnych, że pozostał im wierny do końca życia. Życzliwość Chylińskiego również zrobiła swoje – dzięki niemu uzyskał Lewicki stypendium w Paryżu na Sorbonie i w College de France. Dwuletni pobyt we Francji i sześciomiesięczny w Algierii wykorzystał m.in. na zbieranie materiałów źródłowych dotyczących sekty ibadytów, historii Słowian oraz pogłębienie znajomości języka arabskiego. Były to dziedziny wiedzy, z których Profesor był znany także w powojennym okresie swej twórczości – był autorem wielu artykułów, książek i prelekcji, które wygłaszał często i chętnie przez całe życie.

Po wykorzystaniu zagranicznego stypendium powrócił dr Lewicki do Lwowa i kontynuował pracę naukową jako starszy asystent u prof. Chylińskiego. Opracował na podstawie zebranych niedawno materiałów *Księgę Rogera*, autorstwa wybitnego geografa arabskiego z XII wieku, Al-Idrisiego, działającego na dworze księcia sycylijskiego Rogera. Obszerna i wnikliwa praca na temat opisaną świata przez arabskiego uczonego stała się po II wojnie rozprawą habilitacyjną Lewickiego. Badanie rękopisów arabskich w tej dziedzinie, a także źródeł arabskich do dziejów Słowiańszczyzny stanowiło punkt styyczny zainteresowań naukowych Lewickiego i krakowskiego arabisty światowej sławy, profesora Tadeusza Kowalskiego. Przyjaźń ich, zawiązana przed wojną, trwała nadal w okresie powojennym, gdy prof. Kowalski został kierownikiem katedry Filologii Orientalnej na UJ. Lewicki objął jej kierownictwo po śmierci Kowalskiego w 1948 roku.

## Wojna i po wojnie

Zanim to jednak nastąpiło, przetoczyła się nad Polską i całym globem ziemskim II wojna światowa. Tadeusz Lewicki przestaje pracować na Uniwersytecie JK we Lwowie w 1940 r., kiedy staje się on – z sowieckiego nadania – uniwersytetem ukra-



Prof. Tadeusz Kowalski, znakomity arabista krakowski

ińskim. Zatrudnia się jako robotnik budowlany, a jednocześnie, jak wielu patriotycznie nastawionych Polaków, szczególnie spośród inteligencji, zaczyna działać w ruchu oporu – w Związku Walki Zbrojnej. Uciekając przed gestapo, które go ściga, zmienia nazwiska, a w 1943 roku, wysłany przez AK jako reporter na Zamojszczyznę, redaguje tam pismo „Echa Leśne”, biorąc zarazem udział we wszystkich akcjach zbrojnych swojego oddziału. Później uczestniczy czynnie w Powstaniu Warszawskim, walcząc przez cały czas jego trwania, w randze podporucznika. W 1944 r. został internowany w *oflagu* w Murnau, w Bawarii. Po wyzwoleniu obozu jenieckiego przez wojska amerykańskie udał się do Włoch, gdzie w armii gen. Andersa wykładał historię i literaturę polską<sup>3</sup>. Później, dzieląc los innych żołnierzy armii Andersa, został ewakuowany do Anglii.

Ten bogaty, obfitujący w trudy walki i poświęcenia rozdział życia Lewickiego, opisałam w dużym skrócie, gdyż wspomnienie dzisiejsze nie jest pełną biografią. Inna rzecz, że po przyjrzeniu się wojennym losom Polaków, chciałoby się powiedzieć, że *lata wojny nie liczą się nawet podwójnie, lecz potrójnie*.

Krakowski okres życia i działalności prof. Tadeusza Lewickiego rozpoczął się z końcem 1947 roku, kiedy to – zaraz po powrocie – podjął pracę w Polskiej Akademii Umiejętności, i nie rozstał się już z tym miastem do końca życia, tj. do 22 listopada

1992, wyłączając dłuższe lub krótsze wyjazdy, także zagraniczne, głównie w celach naukowych. Od 1948 roku, jak wyżej wspomniano, był kierownikiem Katedry Filologii Orientalnej UJ. W 1972 r. katedra ta została przekształcona w Instytut (IFO), a prof. Lewicki był jego dyrektorem aż do swojej emerytury w 1976 r. Utworzył z niego w tym czasie ośrodek naukowo-badawczy, nie tylko dydaktyczny, obejmujący kraje, języki, kultury – od Dalekiego Wschodu po zachodnią Afrykę oraz po Czarną Afrykę na południu. Dość wcześnie została włączona *indianistyka*; w latach późniejszych *japonistyka*.

Profesor Lewicki nie ograniczał swojego działania do kierowania samym instytutem w ścisłym znaczeniu. Był też w sposób ciągły związany z Polską Akademią Nauk, prowadząc tam założony przez siebie Zakład Numizmatyki przy Instytucie Kultury Materialnej. Z czasem, w 1969 r. zakład ten został przeniesiony do IFO UJ. Badano tam naukowo m.in. skarby *dirhemów* arabskich, znajdujących na ziemiach słowiańskich. Profesor rozwinął i poszerzył później zakres działalności tego zakładu o badania źródłoznawcze, co wpłynęło na głębsze poznanie najdawniejszych dziejów Polski oraz innych krajów i ludów naszej części Europy.

Nie sposób wymienić wszystkich funkcji, jakie prof. Lewicki w życiu pełnił, oraz omówić gałęzie wiedzy, którym poświęcał uwagę – byłoby to opracowanie bardzo długie. Profesor Tadeusz przeszedł kolejno wszystkie stopnie naukowe, nie stronił również – jeżeli zaistniała potrzeba – od pracy na stanowiskach administracyjnych na UJ, choć za nimi nie przepadał: w latach 1960–62 był prodziekanem Wydziału Filologicznego. Należał do wielu towarzystw naukowych (wielu z nich przewodniczył), w Polsce i za granicą. Był członkiem czynnym PAU, członkiem rzeczywistym PAN. Dzięki niemu zaczęło w 1959 r. wychodzić w Krakowie liczące się czasopismo „Folia Orientalia”, którego był długoletnim redaktorem naczelnym. Brał udział w redagowaniu innych jeszcze wydawnictw fachowych. Pozostawił po sobie bogatą spuściznę naukową: blisko pięćset pozycji drukowanych – książek, skryptów, artykułów, recenzji. Uhonorowano go licznymi odznaczeniami, krzyżami, medalami.

Profesor Lewicki czynnie uczestniczył w licznych kongresach, konferencjach, krajowych i zagranicznych, był zapraszany z wykładami do kilku krajów. Nawet w okresie emerytury prowadził wykłady monograficz-



Profesor prywatnie, przy własnym domu w Kościelisku

ne, udzielał konsultacji, recenzował prace – od magisterskich do habilitacyjnych z wielu uczelni, służył radą i pomocą młodzieży.

Zastanowiło mnie i dało do myślenia zdanie, które przeczytałam w nekrologu śp. Profesora Tadeusza Lewickiego: ... *po długim i szczęśliwym życiu zmarł w Krakowie...* Tak, chyba tak! To było szczęśliwe i bogate życie.

<sup>1</sup> Ormianką była babka Ostrowska – z domu Moszoro.

<sup>2</sup> Prof. T. Lewicki był synem Tadeusza, prawnika i Heleny z Ostrowskich.

<sup>3</sup> w Gimnazjum i Liceum Mechanicznym II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

---

ALICJA MAŁECKA, ur.1934 w Warszawie (lecz w rodzinie wschodniomałopolskiej). Lata wojenne spędziła (jako dziecko) we Lwowie, a od roku 1945 mieszka w Krakowie. Tu ukończyła szkoły i studia orientalistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jej specjalność to arabistyka i afrykanistyka – praca doktorska (1966) dotyczyła języka *suahili*. Pracuje w Instytucie Filologii Orientalnej UJ, okresowo wykładała na Uniwersytecie Warszawskim. Odbyła staż naukowy na Uniwersytecie Kairskim. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim *Polonia Restituta*.

---



Andrzej Pisowicz

# SZEŚĆSET PIĘĆDZIESIĄT LAT ORMIAN POLSKICH

**P**rzybycie Ormian do Lwowa ich własna tradycja wiąże z emigracją ludności miasta Ani, stolicy niepodległego państwa ormiańskiego rządzonego przez dynastię Bagratydów w wiekach IX–XI. Miasto to zostało zdobyte najpierw przez Greków w roku 1045, a następnie przez Turków seldżuckich w 1064. Po upadku państwa ormiańskiego miejscowa ludność masowo opuszczała swą ojczyznę.

Pod koniec XI wieku Ormianie byli już na pewno w Kijowie, a być może także we Lwowie. Do tych najstarszych kolonii mogły przybywać dalsze fale emigrantów, opuszczających zakaukaską Armenię po najazdach mongolskich w XIII w. W każdym razie w połowie XIV w., a więc czasie gdy Lwów znalazł się na terenie państwa polskiego za panowania Kazimierza Wielkiego (1349 r.), we Lwowie rezydował już arcybiskup ormiański Howannes (Jan), któremu podlegali Ormianie w Łucku i Kijowie. Od tego właśnie czasu można już mówić o Ormianach polskich.

**K**olejne fale Ormian, którzy samych siebie nazywają *Haj*, a swą ojczyznę – *Hajastan*, osiedlały się na południowo-wschodnich krańcach Królestwa Polskiego po zdobyciu przez Turków w roku 1475 krymskiej Kaffy. W mieście tym, zwanym wcześniej Teodozją, mieszkała znaczna kolonia ormiańska prosperująca dzięki handlowi, jaki się tam rozwijał, gdy miasto było w XIII w. faktorią geneueńską.

Ci najstarsi osiedleńcy ormiańscy w Polsce, zagubiwszy w czasie wędrówek z Armenii swój ojczysty język, należący – podobnie jak greka czy języki słowiańskie, romańskie, germańskie i inne jeszcze – do wielkiej indoeuropejskiej rodziny językowej, mówili po *kipczacku*. Był to język z rodziny tureckiej, nie-indoeuropejskiej, zwany później przez Polaków *tatarką*. W tym języku (lecz pismem własnym, ormiańskim) wydawali Ormianie swoje modlitewniki, wychodzące z lwowskiej drukarni Karmatanenca,

założonej w 1616 r. Język ten wyszedł z użycia w ciągu XVII wieku.

Dopiero późniejsze fale Ormian przybywające na polskie kresy z terenów dzisiejszej Rumunii mówiły po ormiańsku. Jeszcze w latach trzydziestych obecnego stulecia w przygranicznym miasteczku Kuty nad Czeremoszem kilkuset polskich Ormian umiało mówić gwara zachodnioormiańską, zbliżoną do dialektu Ormian rumuńskich. Do dziś żyje w Polsce kilka osób pamiętających ową gwara.

**O**rmianie w Polsce, jako chrześcijanie, żyli na ogół w zgodzie zarówno z ludnością polską, jak i ruską. Z biegiem czasu coraz bardziej asymilowali się z Polakami, co wiązało się z ich stopniowym bogaceniem się i ambicją dołączenia do warstw posiadających i rządzących. Tylko biedniejsi ulegali rutenizacji.

Wielu Ormian trudniło się w Polsce handlem i rzemiosłem (pracowali też w dyplomacji jako tłumacze i posłowie). Zajęcia te przynosiły im znaczne dochody. W XVIII i XIX w. wielu Ormian nabyło majątki ziemskie i wiodło żywot wzorowany na trybie życia polskiej szlachty. Sporo rodzin ormiańskich otrzymało zresztą szlachectwo: jeszcze w Polsce niepodległej, a po rozbiorach także od władz austriackich. W ciągu XIX, a także i w XX wieku wielu Ormian podejmowało pracę w typowo inteligenckich zawodach. Byli wśród nich lekarze, prawnicy, muzycy, inżynierowie, nauczyciele itp.

Prócz silnej kolonii lwowskiej, skupionej wokół katedry ormiańskiej, której budowę rozpoczęto już w XIV w., znane były także dawne kolonie ormiańskie w Kamieńcu Podolskim, Włodzimierzu i Łucku. Później Ormianie osiedlali się jeszcze w takich miejscowościach jak: Tyśmienica, Podhajce, Bar (w XVI w.); Złoczów, Żwaniec, Brody, Brzeżany, Śniatyn, Łysiec, Stanisławów (XVII w.); Kuty, Bałta, Raszków, Mohylów (XVIII w.). Najbardziej na zachód wysuniętym miejscem zamieszkania polskich Ormian był Zamość (kolonia powstała tam już w XVI w.).



Katedra Ormiańska, wewnątrz: absyda, ołtarz główny, tron. Wg J. Piotrowski: *Katedra Ormiańska we Lwowie*. Lwów 1925

Ormianie zajmowali w dawnej Polsce wysoką pozycję. Królowie polscy, a wcześniej także książęta litewscy, przyznawali im liczne przywileje. Potwierdził je jeszcze w roku 1766 król Stanisław August Poniatowski.

**W**ażnym etapem w historii polskich Ormian było zawarcie w połowie XVII w. unii religijnej z Rzymem. Proces ten trwał wiele lat i przebiegał nie bez oporów. Przedtem Ormianie polscy, podobnie jak zdecydowana większość Ormian w innych krajach (dziś ponad 90% wierzących), należeli do *monofizyckiego* Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego, który oddzielił się od Kościoła powszechnego w połowie VI wieku. Na czele tego narodowego Kościoła ormiańskiego stoi *katolikos*, rezydujący w Eczmiadzinie pod Erewanem (stolicą Republiki Armeńskiej).

Po uznaniu prymatu papieża i odrzuceniu monofizytyzmu Ormianie polscy stali się katolikami własnego ormiańskiego obrządku, zachowującego w liturgii język starormiański (tzw. *grabar*). Na język ten zostało przetłumaczone Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu na początku V wieku,

mniej więcej w sto lat po przyjęciu przez Armenię starożytną chrześcijaństwa jako religii państwowej (król Tiridates = Tyrydat, początek IV w.).

Mało już dziś pamiętanym faktem jest to, że w wiekach XVIII i XIX kościoły ormiańskie, już katolickie, budowane przez bogate ormiańskie kolonie, były nieraz jedynymi kościołami katolickimi w mniejszych miejscowościach kresowych, i Polacy – z braku własnych – do nich uczęszczali na nabożeństwa. Kazania były w nich głoszone oczywiście po polsku, jako że język ormiański był przez polskich Ormian coraz rzadziej używany.

Przejawem asymilacji językowej Ormian w Polsce było urabianie przez nich nazwisk rodowych na wzór polskich przy pomocy przyrostka *-wicz* (pochodzenia wschodniosłowiańskiego, bo w polskim było *-wic*). Przyrostek ten dodawano do imion rdzenie ormiańskich lub obcych, lecz często przez Ormian używanych. Typowe nazwiska polskich Ormian to: Manugiewicz, Minasowicz, Wartanowicz, Donigiewicz (w Armenii nazywaliby się: *Manukian*, *Minasjan*, *Wartanian*, *Tonikian*), Bohosiewicz (w Armenii: *Poghosjan*, od imienia *Poghos* = Paweł, a nie od ruskiego *Boh*), Krzysztofiwicz, Stefanowicz, Antoniewicz, a także Dawidowicz, Abrahamowicz itd. Nazwiska ostatniego typu, utworzone od imion starotestamentowych, używane były także przez inne grupy etniczne, np. przez Karaimów.

**W**śród polskich Ormian byli także ludzie pióra i uczeni. W pierwszej połowie XVII w. wyróżniał się Symeon z Zamościa (ur. 1584), znany w ormiańskiej literaturze jako Simeon Lehaci (Lehacy, tj. Polak). Przez dwanaście lat podróżował on po krajach Bliższego Wschodu oraz Italii<sup>1</sup>. Pozostawił po sobie napisane językiem starormiańskim (grabarem) *Zapiski podróże*, w których m.in. zamieścił opis Lwowa<sup>2</sup>.

Na przełomie XVII i XVIII w. działał Stepanos Roszka, autor *Kroniki* oraz słownika ormiańsko-łacińskiego. W XIX w. niewielu Ormian polskich znało język ormiański. Po polsku pisał swe dzieła dominikanin Sadok Barącz (1814–92). Opublikował on m.in. *Żywoty sławnych Ormian w Polsce* (Lwów, 1856).

Bardziej znani są nam oczywiście Ormianie działający w obrębie kultury polskiej, tacy jak np. poeci Szymon Szymonowicz

i bracia Zimorowice, wybitny działacz oświatowy i pedagog okresu Konstytucji 3 Maja – ks. Grzegorz Piramowicz, czy też – żyjący już w naszym wieku – słynny malarz Teodor Axentowicz (1859–1938), profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Z Krakowem był także związany Jan Dominik Jaśkiewicz (1754–1809), chemik i przyrodnik, założyciel krakowskiego ogrodu botanicznego.

Warto tu wspomnieć, że autorem tekstów do tak znanych pieśni kościelnych jak *Nie opuszczaj nas* i *Chwalcie łąki umajone* był ormiański ksiądz Karol Antoniewicz (1807–52), zaś kompozytorem melodii *Chorału* Kornela Ujejskiego – Ignacy Nikorowicz (1866–1951).

Najwybitniejszą postacią spośród polskich Ormian XX wieku był niewątpliwie ostatni arcybiskup lwowski obrządku ormiańsko-katolickiego, ks. Józef Teodorowicz (1864–1938). Był znany szeroko w całym kraju jako polski patriota, polityk udzielający się w ruchu niepodległościowym, a także wybitny i popularny kaznodzieja. Do dziś Ormianie polscy czczą jego pamięć, czego dowodem była zorganizowana w Krakowie dnia 2 maja br. sesja poświęcona 60. rocznicy śmierci arcybiskupa<sup>3</sup>.

**W** przedwojennym Lwowie Ormianie byli znani i szanowani. Wielu Polaków nie związanych z ormiańskim obrządkiem chodziło do ormiańskiej katedry, by słuchać kazań cieszącego się wielką estymą arcybiskupa Teodorowicza. Głośne były bale ormiańskie, organizowane w okresie karnawału w salach lwowskiego Kasyna Literacko-Artystycznego. Bawili się na nich nie tylko Ormianie, ale i liczni przedstawiciele lwowskiej elity.

Od 1927 r. Ormianie wydawali we Lwowie, oczywiście po polsku, swoje czasopismo noszące tytuł „Posłaniec św. Grzegorza”. Tytuł nawiązywał do postaci pierwszego ormiańskiego świętego, chrystianizatora Armenii z przełomu III i IV wieku. Pismo to po kilkudziesięcioletniej przerwie – od 1994 r. ukazuje się ponownie w Gliwicach. Wydają je Ormianie skupieni wokół ks. Józefa Kowalczyka, proboszcza tamtejszej Parafii Obrządku Ormiańskokatolickiego pod wezwaniem Trójcy Świętej. Parafia ta ma zasięg ogólnopolski. Ksiądz J. Kowalczyk odprawia także w soboty msze św. w obrządku ormiańskim (po staroormiańsku) w krakowskim kościele św. Idziego pod Wawelem.

**W** następstwie drugiej wojny światowej Ormianie podzielili losy Polaków z Wschodnich, zmuszonych do opuszczenia swej małej ojczyzny i do osiedlenia się w Polsce centralnej i zachodniej. Prócz wspomnianych kościołów Krakowa i Gliwic, ormiański obrządek był kultywowany także w Gdańsku<sup>4</sup>. Ordynariuszem wiernych obrządku ormiańskokatolickiego jest w naszym kraju prymas Józef Glemp.

Po długich latach rozproszenia Ormianie polscy zamieszkali w tak oddalonych miastach jak: Kraków, miasta Górnego Śląska, Opole, Wrocław, Poznań, Gdańsk, Warszawa i inne. Z czasem doszło do skupienia się tej ludności wokół różnych organizacji. I tak w 1980 r. w Krakowie powstało *Koło Zainteresowań Kulturą Ormian* przy tutejszym oddziale Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Podobne koła zawiązały się także w Warszawie i Gdańsku. Obecnie w Krakowie działa ponadto *Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne*, a w Gliwicach – założony przez ks. Kowalczyka – *Związek Ormian w Polsce im. Abp. J. Teodorowicza*. Wspólne zebrania obu krakowskich organizacji odbywają się w ostatnie poniedziałki miesiąca o godz. 17.00 w Muzeum Etnograficznym przy pl. Wolnica 1.

Po upadku ZSRR i w następstwie trudnej sytuacji geopolitycznej i materialnej, w jakiej znalazła się niepodległa Republika

Arcybiskup Józef Teodorowicz, mal. B. Barbacki, 1936



Armeńska, do Polski przybyły tysiące Ormian, szukających u nas pracy i zajmujących się często, jak ich przodkowie w dawnych wiekach, handlem. Przyszłość pokaże, czy ludność ta czasowo tylko przebywa w Polsce, czy też osiedli się tu na stałe, tworząc nową falę osadnictwa ormiańskiego w Polsce.

<sup>1</sup> Mieszkał w Stambule, Sebastii, odbył pielgrzymkę do Jerozolimy, był także w Rzymie i Wenecji.

<sup>2</sup> Fragmenty tego tekstu przełożył na język polski (z tłumaczenia rosyjskiego) i wydał w 1991 r. Zbigniew Kościów, znawca muzyki ormiańskiej i sympatyk Ormian.

<sup>3</sup> Patrz *Kronika* w tym numerze (przypr.red.).

<sup>4</sup> W Krakowie duszpasterzem był przez długie lata ks. F. Jakubowicz, a w Gdańsku ks. K. Filipiak. W Gliwicach przed ks. J. Kowalczykiem pracowali księża K. Roszko i K. Romaszkan.

#### *Postscriptum autora:*

*Zainteresowanych odsyłam do takich opracowań książkowych, jak np. „Ormianie w dawnej Polsce” prof. M. Zakrzewskiej-Dubasowej (Lublin 1982) oraz „Ormianie polscy w XX wieku” dra Grzegorza Pełczyńskiego (XXVII publikacja Koła Zainteresowań Kulturą Ormian, Warszawa 1997. Adres KZKO: Warszawa, ul. Kredytowa 1, Państwowe Muzeum Etnograficzne).*

#### *Postscriptum redakcji:*

*Prosimy przeczytać także w tym numerze – w dziale Kultura–Nauka – omówienie wystawy „Ormiańskie pamiątki” w krakowskim Muzeum Etnograficznym oraz informację o sesji poświęconej życiu i działalności abpa J. Teodorowicza.*

---

ANDRZEJ PISOWICZ, ur. 1940 w Miechowskim. Docent dr hab. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ukończył studia orientalistyczne w Krakowie (iranistyka) i Erewanie (armenistyka). Autor ok. 50 publikacji, w tym 3 książek, z czego dwie poświęcone językowi i kulturze Ormian.

---

## Horacy Safrin

# PRZY SZABASOWYCH ŚWIECACH

*Z dwóch tomików pod powyższym tytułem zacytujemy kilka dowcipów i anegdot o polskich Żydach, spisanych przez jednego z nich, zmarłego przed kilkunastu laty literata, rodem z ziemi stanisławowskiej. Dlatego wybrane przez nas obrazki rodzajowe dotyczą właśnie tamtych stron.*

Rabbi z Ottyni przepadał za dobrą muzyką, jakkolwiek znawstwo cudotwórcy ograniczało się raczej do wąskiej dziedziny pieśni synagogalnych.

Rokrocznie wielotysięczne rzesze chasydów oczekiwały z utęsknieniem uroczystych świąt Nowego Roku, kiedy zjawił się w Ottyni słynny kantor z Wyżnicy, Josele Słowik. Towarzyszył mu chór chłopięcy i doskonała kapela.

Jednak wszystko co ziemskie ma swój kres. Z biegiem lat niezawodne gardło Josela zaczęło słabnąć, głos odmawiał posłuszeństwa, śpiew kantora, choć jak dawniej pełen uczucia, coraz bardziej upodabniał się do zdartej płyty gramofonowej.

Cadyk przez pewien czas przysłuchiwał mu się z wyrozumiałym uśmiechem. Wreszcie wezwał go kiedyś przed swoje oblicze.

– Aj, Josele, Josele – powiedział – jaki z ciebie niepoprawny skąpiec!

– Dlaczego, rabbi?

– Przywiozłeś taki dobry chór, przywiozłeś taką dobrą kapelę... Przywiozłbyś jeszcze dobrego kantora – i wszystko byłoby w porządku!

\* \* \*

Rabbi z Ottyni był nie tylko wytrawnym znawcą muzyki synagogalnej, ale zaskarbił sobie również opinię nieomylnego rozjemcy – człowieka o wrodzonym poczuciu sprawiedliwości. Jednak sam wystrzegał się procesów, o czym świadczy takie oto zdarzenie:

Pewnego razu – na długo przed wojną światową – wybrał się rabbi w podróż z Kołomyi do Kosowa. Jechał przedpotopowym wehikułem, przed którym kuśtykała chuderlawa kłacz. Już niedaleko Kosowa, przed zjazdem z tak zwanej Góry Kosowskiej, cadyk nieoczekiwanie zląkł z taradajki.

– Rabbi, co się wam stało? – zaniepokoił się furman.

– E, nic... Tylko ty nie masz hamulca przy wozie.

– Ależ, rabbi! – zdumiał się bałagała. – Was obleciał strach? Was, którzy jesteście świętym mężem i żyjecie na poufalej stopie z samym Panem Bogiem?!

– Mój dobry człowieku! – odparł z uśmiechem cadyk. – Gdyby ten koń poniósł i gdybym ja wskutek tego znalazł się na tamtym świecie i pozwałbym konia przed Najwyższy Sąd za spowodowanie mojej śmierci – z pewnością bym proces wygrał! Ale po co mi się procesować z głupim koniem!...

\* \* \*

Chasyd opowiada:

Do cadyka z Bóbrki przybył pewnego dnia chasyd z głuchoniemą córką. Rabbi – oby żył długo! – przyrzekł stroskanemu ojcu, że córkę uzdrowi. Wdział tedy swój soboli kołpak, ujął kostur i stuknąwszy nim trzy razy w podłogę, zawołał wielkim głosem:

– Saro, córko Lei, rozkazuję ci, przemów!  
A dziewczyna nic, milczy.

– Saro, córko Lei, rozkazuję ci, przemów!  
A dziewczyna nic, milczy.

Więc kiedy Sara, córka Lei, po raz trzeci pozostała nieczuła na jego słowa, rabbi – oby żył długo! – wpadł w złość i zakrzyknął:

– Uparłaś się, a więc do samej śmierci nie wydobądź z niesfornych swoich ust żadnego dźwięku!...

I co wy na to? Sprawdziły się, jak zawsze, słowa – oby żył wiecznie! – rabiego Elchanana z Bóbrki: dziewczyna po dziś dzień jest niema i głucha jak pień...

\* \* \*

W Stanisławowie przy ulicy Karpińskiego mieściły się w jednej kamienicy trzy żydowskie sklepiki z obuwem. Oczywiście, utarg we wszystkich trzech był znikomy.

Pewnego dnia jeden z właścicieli sklepików wywiesił duży szyld: „Tu odbywa się wyprzedaż modnego obuwia”. Gdy zauważył ten napis drugi Żyd, którego lokal znajdował się w przeciwnym końcu kamienicy, również wywiesił szyld: „Najtańsza wyprzedaż obuwia zagranicznego”.

Napisy te spostrzegł właściciel sklepiku w środkowej części posesji. Ten nie zastanawiał się długo i umieścił nad drzwiami swego sklepu duży szyld z napisem: „Główne wejście”.

\* \* \*

Hotelik żydowski w Zbarażu. Szósta godzina rano. Gospodarz budzi śpiącego gościa.

– Na miłość boską! – protestuje gość. – Przecież prosiłem, aby mnie zbudzono o godzinie ósmej!

– To prawda – usprawiedliwia się gospodarz. – Ale kupiec z sąsiedniego pokoju chce jeść śniadanie...

– No to co mnie to obchodzi?!

– Pan śpi na naszym jedynym obrusie!

\* \* \*

Żyd pochodzący z prowincji zgłasza się do lwowskiego Funduszu Bezrobocia i prosi o zasiłek.

– Kim jesteście z zawodu?

– Ja poluję na dzikie zwierzęta.

– A gdzie mieszkacie?

– W Bóbrce.

– Przecież tam nie ma dzikich zwierząt!

– Właśnie dlatego jestem bezrobotny.

\* \* \*

Sklonny do medytacji kupiec Izrael Blau przybył do ważnego ośrodka handlowego na kresach Galicji wschodniej i pyta spotkanego na ulicy Żyda:

– Jednego nie rozumiem. Dlaczego wasze miasto nazywa się Brody?

– Nie rozumiecie, a to takie proste! Tu przecież mieszka rabin brodzki!

\* \* \*

Kiedy w latach trzydziestych odbywał się we Lwowie Zjazd Rabinacki, w pociągu spotkało się dwóch cadyków. Po oficjalnych przywitaniach obydwaj pograżyli się w myślach i milczeniu. Na korytarzu tłoczyli się chasydzi, pragnąc cokolwiek usłyszeć z ust swoich mędrców. Wreszcie jednemu z chasydów wyrwało się pytanie:

– Wielebni rabini! Dlaczego milczycie?

Na to starszy wiekiem cadyk odezwał się z uśmiechem:

– Ja wiem wszystko i on wie wszystko – więc o czym mamy mówić?

---

HORACY (HIRSZ) SAFRIN, ur. 1899 w Monasterzyskach, zm. 1980 w Łodzi. Satyryk, poeta, aktor, reżyser, tłumacz, pochodził z rodziny o tradycjach rabinackich. Do szkół chodził w Stanisławowie i Wiedniu, studiował polonistykę na UJK we Lwowie. W latach międzywojennych pracował w pismach żydowskich i polskich oraz w teatrze żydowskim w Stanisławowie, a w czasie pierwszej okupacji sowieckiej we Lwowie. W latach 1941–46 przebywał w ZSRR, po wojnie osiadł w Łodzi. Ogłosił kilka książek, w tym *Ucieszne i osobliwe historie mego życia* (Łódź 1970) i dwa tomy *Przy szabasowych świecach* (1963 i 1981) oraz tomiki liryków i przekładów.

---



# BAJKA

## Zdzisław Nowak O TURECKICH KULACH, KTÓRE DO CELU NIE DOLATYWAŁY

Kapudan-basza oblegał Lwów już od tygodnia. Pięćdziesiąt tysięcy Turków, a także wspomagających ich Tatarów, Kozaków i Wołochów ostrzeliwało miasto ze wszystkiego, co miało lufę. Pięćdziesiąt tureckich armat grzmiało marsowym basem zasypując obrońców gradem kul kamiennych i żelaznych.

Warowny klasztor Bernardynów, osłaniający mury obronne Lwowa koło Bramy Halickiej, od sześciu dni odpierał szczególnie zaciekle ataki tureckich janczarów. Wciąż z powodzeniem.

Siódmego dnia do celi przeora przybiegł furtian z meldunkiem, iż po zmierzchu, kiedy bisurmanie wstrzymują ostrzał miasta, on słyszy coś, co przypomina mu dziwaczne, bo podziemne kukanie kukulki albo stukanie głodnego dzięcioła.

– Cichajcie, ojcowie! Niech nikt teraz nie gada, a nawet się nie poruszy, ani nie kichnie i nie mlaśnie gębą!

To rzekłszy przez pół pacierza przeor nasłuchiwał w skupieniu, z głową wsuniętą głęboko w klasztorne okienko strzelnicze. Wieki minęły – tak przynajmniej zdało się obecnym – zanim wreszcie ją cofnął.

– I co? I co, ojcze nasz troskliwy?

– Nie podobają mi się tamte głuche odgłosy. Zapewne wróżą nam coś niedobrego. Ba, ale co? Z tego, com słyszał o zwyczajach wojennych bisurmanów, możemy spodziewać się z ich strony jakiegoś niebывale plugawego podstępu. – Przeor ściągnął siwe brwi i zamysłił się, lecz tylko na moment, bo wnet machnął ręką w kierunku Rynku i wykrzyknął: – Wołajcie mi pana Łąckiego! Jeśli może, niechaj tu migiem przybywa!

– Bracie furtianie, dyrdaj po imci pułkownika do ratuszowej wieży, w której siedzi na szczycie jak bociek na gnieździe, by z wysoko śledzić wszystko, co się dzieje dookoła za murami! Przeor klasztoru pragnie go widzieć w ważnej sprawie.

Jeszcze w sierpniu hetman wielki koronny Jan Sobieski, spodziewając się napaści Turków, na komendanta obrony Lwowa wyznaczył zaufanego oficera, pułkownika Eliasza Łąckiego, męża prawnego, z niezliczonymi fortelami w głowie i z sercem nie znającym

uczucia lęku. Pułkownik stawił się w klasztorze po kilku minutach. Wysłuchał uwag przeora i rzekł spokojnie:

– Zaraz wszystko dokładnie sprawdzimy. Tymczasem niech ksiądz przeor każe przynieść nam kryształowy kielich. I dzbanek z wodą.

Dostarczony kielich pułkownik postawił na murze, nalał doń wody i począł mu się pilnie przypatrywać. Wszyscy wstrzymali oddechy.

– Proszę, niechaj ojciec wielebny spojrzy teraz.

Pochylił się przeor nad kielichem, w ślad za nim, jak za panią matką, pochylili się i inni. Nieodczuwalne pod stopami wstrząsy ziemi, w kielichu były widoczne. Powierzchnia wody falowała co prawda leciutko, lecz wyraźnie.

– I cóż takiego odczytujecie w onym kielichu, mości pułkowniku?

– A to, że ani chybi Turczyn zamierza was, ojcze wielebny, Panu Bogu odesłać wprost do nieba.

– Jakże to?

– Ano zwyczajnie. Klasztor wraz z załogą bisurmany chcą wysadzić w powietrze. Więc podkop długi w głębi ziemi zaczęli kuć oskardami, stąd te odgłosy i drgania. Potem tęgą kiskę nadziewaną prochem w dziurę włożą, lont siarką natarty przywiążą, drugi koniec podpalą i buuum!

– Oj, święty Jacku z pierogami, ratuj nasze biedneńkie ciała i nasze niewinne dusze! – jęknął rozpaczliwie przeor i przeżegnał się z rozmachem. – Mości pułkowniku, pomyśl, błagam, czy nie ma na tę prochową kiskę jakiegoś skutecznego medykamentu?

– Jest! – przyznał Eliasza Łącki bez zastanowienia. – Ale przedtem dobrze byłoby dowiedzieć się, od której strony bisurmanie drażą ów podziemny korytarz. Gdybyśmy wiedzieli dokładnie, gdzie jego początek, wyprawilibyśmy pod osłoną nocy zbrojną wycieczkę, aby podkop zawałiła. No a przy okazji zakłuła i kilku pogańskich specjalistów od onej kreciej roboty. Nie zawadziłoby też zagwoździć jedną, dwie albo i ze trzy tureckie bombardy, bo dokuczają nam tu bardziej niżli wściekle szerszenie pracowitym pszczołom.

– Mości panie pułkowniku – szepnął brat furtian i pociągnął oficera za kaftan – znam

zucha, który dowie się wszystkiego, czego od niego wasza miłość zażąda. Siostrzeńca mam, sprytnego piekarczyka nie bojącego się nawet diabła z widłami, a przy tym znającego każdy zakamarek, każdy strych i każdą piwniczkę w caluchnym Lwowie jak własną kieszeń. O, wierzę święcie, że mój Adaśku bisurmanom w kaszy łatwo zjeść się nie da!

– Gdzież on?

– Mówiłem już, że Adaśku piekarczykiem jest. Ani chybi wraz z inszymi piekarzami pod komendą majstrów Baszty Piekarskiej broni.

– Tej przy Furcie Jezuickiej?

– Tej samej, wasza miłość. Niedaleczko. Pułkownik nie wahał się.

– Wołajcie go zatem! – rozkazał. – Byle szybko.

Dwa pacierze nie minęły, gdy Adaśku z roziskrzonymi oczami i roześmianą gębą meldował się przed ojcem przeorem i panem Eliaszem Łąckim.

– Oho, zdaje się, że wiesz już – pułkownik przymrużył oko – po co kazaliśmy cię wołać?

– Wuj po drodze powiadał, iż wejście do dziury bisurmańskiej mam znaleźć. Do podkopu, spod którego Turczyn mur klasztorny chce wysadzić w powietrze. Pójdę, znaję wąż do owej dziury w ziemi i wrócę tu bezpiecznie. Janczarowie nawet nie spostrzegą, żem się między nimi kręcił. Zresztą, na wszelki wypadek gębę wysmaruję sadzami, barani serdak kłakami na wierzch nadzieję i będę wyglądać jako wypisz-wymaluj pierworodny syneczek tatarskiego agi.

– A nie boisz się, chłopcze, że język cię zdradzi? – zaniepokoił się przeor.

– Na wpół głuchego od armatniego grzmotu będę udawać. Albo pół niemowę od urodzenia.

– Adaśku, nie obawiasz się ani tycki, że może ci tam być odrobinę za gorąco?

– Mnie? – obruszył się chłopiec. – Ależ, mości panie pułkowniku, przeciwnie piekarczyk z ojca i dziada. Od świtu do zmierzchu przy piecu chlebowym bochenki białkiem pędzuję, makiem i kminkiem posypuję, drewnianą łopatą w tę i we wte suwam, więc od maleńkości przywykłem do wszelakiego gorąca. Dam sobie radę.

Rzeczywiście, Adaśku sprawił się, że lepiej nie można. Z okienka pod stromym dachem zsunął się zręcznie po sznurze i, nie zauważony przez nikogo, gdzie trzeba było przebiegł chyłkiem, gdzie trzeba przeczołgał się na łokciach albo i na brzuchu i po półtorej godzinie powrócił z wiadomością dla klaszto-

ru cenniejszą od wora złota: początek podkopu znajduje się w piwnicy zrujnowanej chałupy Piskorzów na samym początku ulicy Łyczakowskiej.

Kto wie, jak zakończyłyby się owa nocna wyprawa zbrojnych mieszczan poza mury klasztoru bernardyńskiego, gdyby nie nieoczekiwana i to podwójna pomoc, rodzimego nadpełtwiańskiego diabła oraz świętego Jana z Dukli. Noc, na szczęście prawdziwie atramentowa, bezksiężycowa i bezgwiezdna, sprawiła, że grupa ochotników – najdzielniejszych z klasztornej załogi, uzbrojonych w szable, długie noże i pistolety, prowadzonych przez porucznika Zawadę i piekarczyka Adaśka – wysunęła się przez uchyloną żelazną furtę i zniknęła w mroku, nie dostrzeżona przez nikogo.

Tylko czy rzeczywiście przez nikogo?

Akuratnie, w czasie kiedy gromadka zbrojnych mężczyzn opuszczała warownię ojców bernardynów, naprzeciwko, na kominie spalonej chałupy siedział w kucki Kosmacz, czart turecki przybyły pod Lwów wraz z armiami Kapudana-baszy, i dłubiąc ostrym pazurem w nosie gapił się na klasztor. Oczywiście zbrojnych lwowian wypatrzył od razu. Domyślił się też celu nocnej wyprawy.

„Oho, Lachy wylazły z nory i skradają się po cichuśku, aby jakowąś krzywdę moim wyrządzić. Może jeńca bardzo znacznego chcą wziąć? A może niewierne gjaury odgadły, że moi podkop drażą pod ziemią, ażeby w murach fortecznych dziurę olbrzymią prochem wywalić, więc zamierzają go zasypać pod osłoną nocy? Trzeba sprawdzić, czy janczarowe straże u wejścia do podkopu aby nie drzemiają.”

Zerwał się stambulski czart na równe kopyta, żeby nie zwlekając popędzić do zrujnowanej chałupy u wylotu ulicy Łyczakowskiej, gdzie mieścił się tajemny wąż do tunelu, lecz – nie zdążył.

Przed nim stał inny diabeł i trzymał go z całej siły za rękaw. Diabeł miejscowy. Znać się – lwowski, spod Czartowskiej Skały. W polskim kaftanie, w butach z żółtej cielecej skóry kryjącej kopyta i ze szlachecka podkręconym wąsem. No i nie z takimi rogami i nie tak kosmaty jak diaski znad Bosforu. Solidnej postury, przystojny, choć już z czpryną mocno przysypaną mąką siwizny.

– Hej, a ty dokąd wybierasz się, cycku pogański? Swoich chcesz uprzedzić o wycieczce moich lwowiaków? – wrzasnął poiryutowany Pełtwiak, bo on właśnie był tym miejscowym czartem, nie wypuszczając z garści

bisurmańskiego rękawa. – Czyżbyś zamierzał wtrącić się do ludzkich porachunków? A to jakim prawem? Won mi stąd! Natychmiast! A może, mantelepo pogańska, tobie samemu zamarzyła się krawa wojażka?

Jeśli tak, to najsamprzód ze mną spróbuj się zmierzyć. Zaraz zamienię ci nos w dorodny kleparowski ogórek, ucho zaś w dojrzały jałowiecki kalafior. Skoro chciałeś, to masz, chuda tyzcko! I jeszcze raz! Ta jeszcze na dokładkę! Ta i na poprawiny!

Kosmacz zabulgotał coś paskudnie po turecku, po czym schwyił się za podbite oko, zapominając i o jakichkolwiek argumentach w pysku, i o jakiejkolwiek zastanie przed gradem spadających nań ciosów. Tymczasem naczelnik nadpełtwiańskiego plemienia najwyraźniej miał już dość tureckiego intruza. Błyskawicznie złapał go za ogon, zakręcił nim gigantycznego młynka nad głową i jak nie puuuuścił!

Ani Polacy, skryci za murami obronnymi Lwiego Grodu, ani Turcy i ich pobratymcy na legowiskach rozmieszczonych wokół Lwowa nie potrafili odgadnąć, skąd ni z tego, ni z owego w powietrzu rozległ się przeraźliwy skowyt, niknący powoli gdzieś hen za Łyczakowską Rogatką i za Winnikami. Ale to niechaj nikogo nie dziwi, tajemnicę bolesnego wycia znał przecież jedynie ogoniasty Pełtwiak.

Zanim nocna wyprawa lwowian nieco okrężną drogą, zmuszona do wymijania gęsto tutaj rozstawionych tureckich i tatarskich posterunków, dotarła do zrujnowanej chałupy Piskorzów, Turcy zataszczyli na koniec podziemnego wykopu ogromną kichę z prochem. I pewnie wysadziliby mur klasztorny w powietrze, gdyby nie święty Jan z Dukli, patron Lwowa od ponad dwustu pięćdziesięciu lat nie opuszczający swego miasta w nieszczęściu i w nagłej potrzebie. Widząc z wysoka, co się święci pośrodku Ziemi Czerwieńskiej, runął na kolana, wołając błagalnym głosem:

– Panie Jezu miłosierny, spuść wielką wodę na pogańskiego Turka i na jego podkop pełnieszki prochu! Nie zwlekaj ani pół chwili, gdyż i janczar czekać ze swą zbrodnią nie myśli! Widzę, że ichni aga właśnie przytknął płonąca żagiew do nasmołowanego lontu. Panie Jezu, pośpieszaj z pomocą, nie pozwól, aby klasztorowi, a tym samym i mojemu umiłowanemu miastu stała się straszliwa krzywda!

Ledwie święty patron Lwiego Grodu zdążył wyrzec słowa rozpaczliwej prośby, na niebie pojawiło się dwóch silnych aniołów w pościechu pędzących z Bożej łaki oblok nasy-

cony wodą. Zatrzymali się dopiero nad skrajem ulicy Łyczakowskiej i tak szczerze chlusięli tu ulewą, że woda z groźnym bulgotaniem momentalnie załała podziemny korytarz, gasząc płonąca już lont, kichę prochu zaś przemieniając w szaroburą maź, w błocko nie bardziej groźne dla ojców bernardynów – a i dla miasta – niż najwyklesza packa na muchy.

Zgodnie z rozkazem pułkownika Łąckiego drużyna dzielnych lwowian zawałiła na amen mokry podkop ciągnący się od ulicy Łyczakowskiej ku murom bernardyńskiej twierdzy, wyrznięta w pień chrapiąca słodkim snem wartę, zniszczyła cztery ciężkie, sułtańskie armaty i, zanim Turcy ocknęli się z zaskoczenia i pośpieszyli z pomocą napadniętym, z wziętym do niewoli naczelnikiem janczarów powróciła szczęśliwie do klasztoru.

– Cud! Cud prawdziwy, że się im powiodło we wszystkim podczas tej niebezpiecznej wyprawy! – radował się przeor zakonu bernardynów.

Braciszek bernardyn, który akurat gorącą kaszę przyniósł z refektarza, nie mówił nic, jeno gębą różową ruszał w milczeniu i wznosząc oczy ku niebu, posapywał niby miech kowalski w kuźni na Zamarstynowie. Natomiast brat furtian mruczał pod nosem, ale nie za cicho, lecz tak, ażeby to jego mruczando docierało i do uszów pana Eliasza Łąckiego, i do uszów burmistrza Zimorowicza, i do uszów pozostałej starszyny:

– Cud! Oczywiście, że cud! Lecz ciekaw jestem, ile by zdołano dokonać podczas króciuchnej nocy w pogańskim obozie, gdyby w spełnieniu najcudowniejszego z cudownych cudów nie dopomogli odważni ludziska, rycerze o lwich sercach, przede wszystkim mój Adaśku, a także pan porucznik Zawada oraz pozostała gromadka rębajłów!

Nie mniejszy cud oczekiwali obrońców miasta nazajutrz. Ale o tym za chwilę.

Kapudan-basza, namiestnik tureckiego sułtana w tej wojnie, na wieść o zawałonym lochu i zniszczonych armatach najpierw poczerwieniał na gębie jak ćwikłowy burak, następnie wciągnął kilka głębokich haustów powietrza, po czym zaczął wrzeszczeć ile tchu w płucach:

– Jakże to możliwe, aby garstka Lachów z byle zielonym młokosem na czele dobrze przemyślane plany w ciągu jednej krótkiej nocy obróciła w perzynę, zamieniła w figowego zgniłka? Byłem pewien, iż mam pod komendą pięćdziesiąt tysięcy nieulekłych wojowników Proroka, a tymczasem mam tutaj zaled-

wie pięćdziesiąt tysięcy ryżowatych myszy bojących się jak ognia paru chudych kotów!

I za karę, również jako przestrogę dla innych, naczelnikom odpowiadającym za rozstawienie nocnych straży, kazał powrzucać za koszule po dwa żywe wygłodniałe szczury, mocno podwiązać rzemieniem i srogo pilnować, ażeby przed upływem doby nie umknęły na swobodę. Rano, wciąż jeszcze rozgniewany, wszystkie pięćdziesiąt armat (dokładnie: czterdzieści sześć, jako że cztery największe lwowiacy wszakże zagwoździli) rozkazał skierować na klasztor bernardyński oraz na co ważniejsze obiekty w mieście i prowadzić nieustanny ogień tak długo, dopóki żelazne i spiżowe lufy nie rozgrzeją się do czerwoności.

– Dobrzy ludzie, patrzajcie, co się dzieje! Tureckie kule dolatują do nas, ale niezupełnie! – zawołał brat furtian i nie bacząc na armatni ostrzał, z wielkiej radości zaczął podskakiwać na jednej nodze pośrodku klasztornego dziedzińca. – Na dwa łokcie przed murem zatrzymują się, by zaraz potem spaść na ziemię niczym dojrzałe lubaszki albo ulęgałki!

Ku niezmiernemu zdumieniu lwowian podobnie było i w innych częściach miasta. Armatnie kule, jak zaczarowane, spadały przed murami katedry łacińskiej i katedry unickiej Świętego Jura, przed murami żydowskiej synagogi Złotej Róży oraz prastarej katedry ormiańskiej. Także i tym razem nikt z mieszkańców Lwowa nie domyślił się, że kolejny cud miasto zawdzięczało świętemu Janowi

z Dukli, że to na prośbę patrona Lwiego Grodu aniołowie pracownicy strącali tureckie kule w powietrzu, zanim jeszcze zdołały dotrzeć do celu.

Deszcz, który lont pod ziemią gasi i proch przemienia w błocko, nocna wycieczka lwowian, która szkody straszliwe wyrządza, a której nikt wypatrzeć na czas nie zdołał, kule armatnie nie dolatujące do dobrze wymierzonego celu... Nie, tego wszystkiego Kapudanowi-baszy było już za wiele. Wódz turecki zrezygnował ze zdobywania Lwowa. Aby ratować honor choć częściowo, zgodził się na wzięcie okupu od mieszczan oraz kilku zakładników, po czym zwinął oblężenie i wycofał się jak zbity kundel, pośpiesznym marszem w kierunku Kamieńca i tureckiej granicy.

\* \* \*

Wszyscy mieszkańcy Lwowa – a i goście odwiedzający niegdyś to urokliwe miasto – doskonale wiedzą, że na zewnętrznym murze katedry od strony prezbiterium wisiały na łańcuchach dwie okrągłe kamienne kule. Jedne z wielu tureckich kul armatnich, które nie doleciały do celu, a zachowane dla potomnych na pamiątkę oblężenia grodu w roku 1672 przez Kapudana-baszę, miały przypominać na wsze czasy o cudownym ocaleniu.

---

Opowiadanie zaczerpnięto z książki Zdzisława Nowaka pt. *Lwowskie baśnie i legendy*, wyd. Oficyna Panda, Warszawa 1993. Książka jest nadal do nabycia w księgarniach.

Stary Lwów i jego fortyfikacje w czasie oblężenia turecko-kozackiego (1672?). Obraz z pocz. XVIII w. Wg O. Czerner, *Lwów na dawnej rycinie i planie*



# Z Jerzym Hordyńskim

rozmawia

Janusz M. Paluch



– W jednym z wywiadów prasowych zdradził Pan swoją tajemnicę, że chce Pan wrócić do Lwowa. Dlaczego Pan tego jeszcze nie zrobił?

– Ależ zrobiłem. Byłem we Lwowie w 1960 roku. Powiem panu, że ta konfrontacja wspomnień z tym, co zobaczyłem, była tak wstrząsająca, że właściwie postanowiłem więcej tam nie wracać.

– Ale ta rozmowa ukazała się w 1997 roku!

Naturalnie, pojechałbym teraz. Te wstrząsające konfrontacje usunęły się nieco w cień. I znowu wylania mi się ze wspomnień ten stary Lwów, który rekonstruuje przy różnych rozmowach. Wtedy zdaję sobie sprawę, że to miasto zawsze we mnie było. Dlaczego? Dlatego, że cała moja młodość literacka, to co mnie uformowało jako pisarza i człowieka, było związane ze Lwowem. To było miasto o bardzo specyficznym charakterze. Dopiero gdy się poznaje inne miasta, to wtedy docenia się w pełni Lwów. To nie jest zachwy nad słynnym dialektem lwowskim, nad

dowcipami w stylu Szczepcia i Tońcia, nawet nie nad pejzażem i nie nad architekturą, która jest zresztą bardzo cenna. Ale nad wspaniałym jednolitym klimatem ludzkim. Ta atmosfera, która tam była, bezpowrotnie została zniszczona. Mało jest takich miejsc w Europie, jakim był Lwów. Jak pan tam przyjeżdżał, to otrzymywał pan to, na co czekał. Takim miastem, ale jakże różnym od Lwowa, jest Neapol.

– Mimo tylu lat spędzonych w Krakowie, potem nad Tybrem, Pan nadal identyfikuje się ze Lwowem?

– Nie do końca. Jestem poetą polskim i to całkowicie mi wystarcza. Ja nie piszę przecież bałakiem. Nie poświęcam swej twórczości temu miastu. Jestem bardzo przywiązany do Lwowa, co podkreślam na każdym kroku. W pewnym momencie zaczęto poetów szufladkować, doczepiając etykietkę, gdzie mieszkają. Ponieważ ja zamieszkałem w Krakowie, stałem się krakowskim poetą, co było i jest nonsensem. Bardzo lubię Kraków, mam duży sentyment do tego miasta, ale co to znaczy krakowski poeta? To byłby poeta, który pisałby w gwarze krakowskiej? Czy chodziłby w jakiejś sukmanie krakowskiej? Czy śpiewałby tylko krakowiaczki? Jakaś zupełnie niepotrzebna regionalizacja. Natomiast w minionym na szczęście już okresie nie próbowano mówić i pisać o mnie jako o poecie lwowskim, czy pochodzącym ze Lwowa. Wtenczas robiono wszystko, ażeby z polskiej tradycji ten Lwów wypadł. Zawsze byłem niesłychanie wdzięczny Witoldowi Szolginowi, u którego bywałem w Warszawie, za to, że stworzył w swym mieszkaniu swoiste sanktuarium lwowskie. Tam, u niego, oddychało się Lwowem i to całkowicie nam wystarczało. A ta Warszawa za oknem nie była nam już właściwie do niczego potrzebna. Wie pan, w czasie wojny ocierałem się wielokrotnie o śmierć. Byłem w sowieckim więzieniu i obozie koncentracyjnym i dzięki lwowiakowi przeżyłem ten koszmar. Był nim wielki historyk sztuki prof. Mieczysław Gębarowicz, który regularnie przysyłał mi paczki. Dzięki nim nie zginąłem z głodu. To były lata ciężkie, trudne i rzykowne, ale mające tę jedną zaletę – człowiek wtedy się sprawdzał.

– Jeszcze kilka lat temu cenzura nie przepuściłaby tych słów. Ale i dzisiaj są tacy, którym Pańska wypowiedź nie będzie się podobała.

– Ha, trudno. Ich zmartwienie! Tu nie chodzi o jakiś płytki nacjonalizm, wykrzyki-



wanie: Lwowa nie damy! etc. To niestety od nas nie zależy. W dziejach ludzkości, narodów, nie wszystko da się przewidzieć. Nie ma jednak żadnych powodów, ażeby na Kresach zacierać ślady polskości. Zupełnie nie mogę zrozumieć Ukraińców na bardzo wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach, którzy podejmują nieodpowiedzialne decyzje mające na celu zacieranie pozostałości polskich śladów na Ukrainie. Co im to szkodzi? Przecież Rzeczpospolita nie zdobywała Lwowa. Polacy tam byli, a ponad 700 lat polskiej tam obecności, również pod zaborem, to nie jest 6 miesięcy! Nie mówiąc już o tym, że tworzona we Lwowie kultura była na bardzo wysokim poziomie i oddziaływała we wszystkich kierunkach.

– **Wróćmy jednak do przedwojennego Lwowa. Tam kształtowała się Pańska osobowość twórcza. W tamtym mieście nasiąkał Pan nie przewidując, że owoce będzie Pan oddawał innym miejscom, w Polsce i Europie.**

– Mimo że czuję się mocno związany ze Lwowem, do gimnazjum chodziłem w Stanisławowie. I nie urodziłem się we Lwowie. Ale przecież gdzieś się trzeba urodzić. Były to jeszcze czasy pełnej mobilizacji. Już skończyła się I wojna światowa, ale czekała nas wojna z bolszewikami. Mój ojciec z ramienia Wojska Polskiego sprawował wtedy kontrolę nad majątkami ziemskimi w województwie lwowskim. I dlatego się urodziłem w Jarosławiu. Bardzo cenię i bardzo lubię to miasto. Mam tam nawet krewnych, moja matka przez kilka lat tam mieszkała. Gdy mnie aresztowano, w grypse kazałem jej natychmiast opuścić Lwów. Ona wtedy w Jarosławiu znalazła schronienie. W stanisławowskim gimnazjum byłem redaktorem dużego pisma uczniowskiego „Pobudka” drukowanego w normalnej drukarni. Zbierałem do niego materiały. Kwalifikowałem je do druku. Pismo rozchodziło się w wielu szkołach średnich. Było na przyzwoitym poziomie.

– **Po maturze zamieszkał Pan jednak we Lwowie.**

– W 1937 roku przyjechałem do Lwowa i na Uniwersytecie Jana Kazimierza rozpocząłem studia prawnicze. Równocześnie wszedłem w życie literackie ówczesnego Lwowa. Miałem dużo kontaktów z młodymi poetami. Z Grupą Rybaltów zrzeszającą bardzo zdolnych poetów, jak Zbigniew Rogowski, Maciej Freudman, Aleksander Baumgardten. Kontaktowałem się też z wybitnym twórcą Tadeuszem Holendrem. W końcu

współtworzyłem coś w rodzaju grupy poetyckiej i daliśmy wielki wieczór młodej poezji Lwowa, który odbył się w reprezentacyjnej sali Collegium Maximum na Uniwersytecie. Nasze wiersze czytali doskonali aktorzy, m.in. Tadeusz Woźniak, Witold Klecki, pani Waleria Sołtysik. Był z nami doskonały Jan Mazur, którego Sowietci zgnoli w kopalniach na Sybirze, a który wydał piękny tom w wydawnictwie Książnica Atlas *Z wysokich Tater wiatery sum*. Do tego poematu wspólnie napisał muzykę napisał Artur Malawski. Była z nami też Maria Stobiecka – wielka miłość Gałczyńskiego, Maria Blachaczyk, Maria Petry – która zmarła tu w Krakowie – itd. itd. Entuzjastyczną recenzję po tym wieczorze napisał słynny Michał Pawlikowski – syn Jana Gwałberta Pawlikowskiego. Po wakacjach mieliśmy zamiar rozpocząć wydawanie pisma literackiego. Największy wpływ na naszą grupę mieli poeci spod znaku Skamandra, wtedy bardzo modni we Lwowie. Ludzie bardziej interesowali się ich twórczością niż awangardą w typie Juliana Przybosia.

– **Życie literackie to nie tylko praca twórcza. W Krakowie to również, a może przede wszystkim życie kawiarniane. Jak to wyglądało za Pańskich czasów we Lwowie?**

– Lwów miał tradycję wiedeńską. Przychodziło się do kawiarni w trzech celach. Najpierw żeby się napić kawy. Potem, żeby poczytać gazety. A po trzecie, by sobie porozmawiać ze znajomymi, pograć w szachy, i to na pieniądze. Celowała w tym kawiarnia „szkocka”. Były też kawiarnie, gdzie widywało się artystów. Był to Welz na Akademickiej. Tam zjawiali się literaci, między innymi słynni Rybaltci tam przychodzili. Nawiasem mówiąc tam, w kasynie, raz w tygodniu odbywały się stałe spotkania literackie. W tamtym miejscu po raz pierwszy jako szczeniak, w 1937 roku byłem na wieczorze Czesława Miłosza. Akurat wydał tomik *Trzy zimy*. Już wtedy pisał wiersze katastroficzne, jak zresztą cała awangarda wileńska, ale tam jeszcze się tego nastroju nie odczuwało. Za okupacji sowieckiej po 1939 roku bardzo często okupowaliśmy ławki w parkach, gdzie dyskutowaliśmy o poezji, a nawet poprawialiśmy to, co na bieżąco powstawało. U Welza można było spotkać starego Sichulskiego, jak malował karykatury. Miał chore nogi, opuchnięte, w butach wojłkowych, szerokich, bo pewnie tylko do takich mógł nogi włożyć. Wokół niego kręciło się zawsze mnóstwo ludzi. Byli też profesorowie, którzy spotykali się głów-

nie w kawiarni Wiedeńskiej. Zresztą ci, którzy mieli nieliczne grupy studentów, prowadzili tam zajęcia. Do kawiarni Wiedeńskiej przyjeżdżał na koniu prof. Stanisław Grabski. Przywiązywał go do latarni i szedł na kawę. Były też organizacje, które gromadziły specyficzne środowiska. W Kasynie Końskim spotykali się arystokraci. Tam zasiadali Badeni, Żółtowski i inni. To stwarzało różnorodną atmosferę. Było to miasto, w którym mieszkali ekscentrycy, dziwacy i wariaci. Autentyczni wariaci ubierali się jak wariaci. Kapitanowa nosiła z dziesięć spódnic na sobie. Był eks-oficer austriacki, który wydawał cały czas komendy. Myślę, że przesadnie oczekuje się tego batiarskiego humoru, tych ballad. Ale one są wizytówką tego miasta.

**– Wybuch II wojny zniweczył Pańskie plany bezpowrotnie. Jak wyglądały te trudne czasy okupacji sowieckiej i niemieckiej?**

– Wojna to był szok. Dla mnie podwójny. Wtedy byłem na granicy polsko-rumuńskiej w Kutach. Wszyscy szli przez most do Rumunii, a ja w przeciwną stronę – do Lwowa. I to jeszcze z opóźnieniem. Tak się zdarzyło, że Rosjanie zastrzelili Dołęgę-Mostowicza, autora słynnego *Nikodema Dyzmy* i ja się zająłem jego pogrzebem. On jechał już jednym z ostatnich wozów na stronę mostu na Czeremoszu. Tam dopadł ich jakiś czolg sowiecki i go zastrzelili. W Moskwie mógł sobie odebrać mnóstwo pieniędzy z honorariów, ponieważ jego książka wyszła tam w wielu wydaniach o wysokich nakładach. A we Lwowie zastałem już okupację sowiecką. Wróciłem na studia. Przeniósłem się jednak na orientalistykę, a równocześnie chodziłem na polonistykę, która była tam na bardzo wysokim poziomie. Kierownikiem katedry polonistyki był prof. Juliusz Kleiner, wykładał też słynny prof. Stanisław Lempicki, wykłady z zakresu psychologii prowadził prof. Mieczysław Kreutz, a filozofię wykładał prof. Roman Ingarden. Można było wtopić się w naukę i zapomnieć o tym, co działo się na zewnątrz. Ale nie do końca, bo pragnęliśmy przecież jakoś się uzewnętrznić. Ponieważ Polska zniknęła z mapy Europy, myśleliśmy nad rozpoczęciem takiej działalności, która mogłaby być namiastką tego, co we Lwowie robił Związek Literatów Polskich. Oficjalnie działał tylko Związek Pisarzy Ukraińskich, zresztą założony przez uciekinierów z Warszawy – nie będę wymieniać ich nazwisk ani narodowości, ale wiadomo, o co chodzi. Chcieliśmy też kontynuować trady-

cje uniwersyteckiego Koła Polonistów. Organizowaliśmy zatem odczyty na tematy literackie, naukowe, ale i wieczory autorskie, podczas których czytano poezję i prozę. Podczas spotkań mieszałyśmy w jakimś sensie tę aktualność narzuconą Polsce, z tym że naturalnie nie propagowaliśmy utworów na cześć Stalina ani jakichś literackich wykwitów socrealistycznych, ale staraliśmy się mieć kontakt z najciekawszymi ludźmi, jacy tam byli, abstrahując od ich poglądów politycznych. Miał wieczór autorski Julian Przyboś, przychodził na nasze spotkania Tadeusz Boy-Żeleński, była też dobra lewicowa pisarka Halina Górska, Mieczysław Jastrun etc. Takie zebrania, spotkania, którym ja przewodniczyłem, jako prezes Koła Polonistów, stały się namiastką Związku Literatów Polskich we Lwowie. Niestety, zawsze mieliśmy paru szpiclów na sali. Gdy się zbliżała wojna niemiecko-sowiecka, nagle bardzo intensywnie zaczęło się nami interesować NKWD. Do tego stopnia, że zażądali protokołów z zebrań. Wtedy wzięłem moją sekretarkę, pannę Szulcównę, młodą polonistkę, i zaczęliśmy te protokoły przebrać. Okazało się bowiem, że w naszej głupiej naiwności zapisywaliśmy rzeczywiste wypowiedzi uczestników spotkań. One nigdy nie miały charakteru politycznego. Ale u nich wszystko było polityką, łącznie z estetyką. A zatem jeśli Andrzej Rybicki zaczął wygłaszać swoje metafizyczne teorie, to już więcej nie było potrzeba, by trafić do więzienia. Ale jakoś udało się to przeciągnąć aż do okupacji niemieckiej. I wtedy zaczyna się nowy rozdział. O ile pod Sowietami polonistyka była przedmiotem oficjalnym na bardzo dobrym poziomie, to pod okupacją niemiecką trzeba było przejść do podziemia. Nie było przecież oficjalnie uniwersytetu. Organizowaliśmy wykłady w miejscach różnych, np. w moim mieszkaniu, przy zachowaniu pełnej konspiracji. Udawaliśmy, że są to jakieś spotkania towarzyskie, imieniny, urodziny, diabli wiedzą co. Nigdy nie było więcej niż 10–15 osób na takich wykładach. Profesorowie wykazywali prawdziwą odwagę. Oczywiście nie było między nimi profesora Kleinera, bo ze względu na swe żydowskie pochodzenie był zaszyty w lasach w jakiejś leśniczówce i na szczęście ocalał. Zresztą tu dużą zasługę położyła prof. Stefania Skwarczyńska, znakomita specjalistka od teorii literatury, która prowadziła wykłady. Wśród tych profesorów był też prof. Eugeniusz Kucharski, zna-

komity specjalista od Fredry; który wychował profesorów takich jak Artur Hutnikiewicz w Toruniu – autor znakomitych prac o Młodej Polsce, Żeromskim itd. Naturalnie te wykłady nam nie wystarczały. Z jednej strony wypełnianie wiedzy, z drugiej strony egzaminy – bez żadnej taryfy ulgowej, zupełnie normalne i często bardzo surowe. Były też wykłady z kultury antycznej prof. Ryszarda Ganszyńca, wielkiego znawcy, któremu zawdzięczamy chronologię na podstawie analizy językowej *Dialogów* Platona. A w nas siedziały nasze wiersze, które przecież pisaliśmy nadal. Wiersze o różnej wartości literackiej, co wymuszały na nas czasy, w jakich je tworzyliśmy.

– **Czy one były gdzieś publikowane?**

– Były. W tamtych czasach wydaliśmy w Warszawie dwie duże antologie. Jedna nosiła tytuł *Wierność płomieniu* a druga *Śpiew wojny*. Oczywiście wiersze drukowane były anonimowo. Obie książki były naszym wielkim sukcesem. Naszym łącznikiem z Warszawą był Jerzy Andrzejewski. Często się z nim spotykaliśmy. Zresztą to on pierwszy przywiózł nam do Lwowa wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, którymi sam się zachwycał. Na tych spotkaniach literackich poeci czytali swoje wiersze i prozę. Były dyskusje. To nas podtrzymywało na duchu. Powstawały też sztuki teatralne. Był taki lekarz, bardzo ciekawy człowiek, Świącicki się nazywał, który napisał utwór dramatyczny pt. *Nokturn Skriabina*. Bronisław Dąbrowski wykorzystał go, kiedy już legalnie można było pracować. Tak więc była kontynuacja kulturalna. Myśmy mieli ciągłe kontakty z naszymi profesorami. Na przykład znany historyk sztuki prof. Mieczysław Gębarowicz ciągle udostępniał zbiory sztuki. Wszyscy sobie nawzajem pomagali. Nawet profesory, którzy byli z natury sztywni i w pewnym sensie nawet nieprzystępni, nagle stali się niezwykle serdeczni, jak chociażby słynny romanista prof. Czerny (jego żona była świetną tłumaczką średniowiecznej poezji francuskiej – pani Ludwika Czerny). Ta nasza praca nie przechodziła bez ofiar, bo były wypadki. Chociażby Tadzio Holender, który czytał u nas słynną elegię na cześć marynarzy, którzy zatopili się w Tulonie ze swoimi okrętami, w dwa tygodnie później był już rozstrzelany. I takich rzeczy było więcej – Stanisław Rogowski zginął w obozie koncentracyjnym. Pracowało się, dyskutowało, ale nie wiedziało, czy wróci się do domu.

– **W czasie okupacji sowieckiej był Pan kierownikiem literackim teatru lwowskiego.**

– Tak. Byłem jednym z dwóch. Widzi pan, inny był stosunek ZASP-u do okupacji sowieckiej. Był zakaz grania pod okupacją niemiecką. Ale ta restrykcja nie dotyczyła Lwowa pod okupacją sowiecką. Pierwszym kierownikiem był Jerzy Koller, znakomity teatrolog z Poznania rodem. Do moich obowiązków należało pisanie kupletów, żartobliwych tekstów bez żadnej polityki. Koller panował nad całością. Tam się narodziła pierwsza oficjalna szkoła aktorska, którą kierowali Aleksander Bardini oraz Tadeusz Byrski – później kierował teatrem w Kielcach. Ta moja praca miała dalsze konsekwencje. Gdy byłem w obozie, uratowała mi życie. Dzięki temu jakoś mogłem przeżyć. Zorganizowałem zespół artystyczny w obozie w Donbasie. Byłem oskarżony o to, że chciałem oderwać część Związku Radzieckiego i przyłączyć do Polski. To był rok 1945. Kilka dramatycznych nocy... Sowietci byli wściekli, że Polacy nie ruszają się ze Lwowa i czekają na zbawienie. W ciągu kilku nocy aresztowali 15 tysięcy ludzi, głównie z młodej inteligencji. Wtedy ja też znalazłem się w więzieniu. Po bardzo ciężkim pobycie we lwowskich więzieniach znalazłem się w Donbasie. Cóż, musiałem zorganizować jakiś zespół artystyczny i pozwoliło to przeżyć. W tych warunkach więcej niż ciężkich, przy ogromnej śmiertelności. Życie tam było niemożliwe. Na stosunkowo niewielkiej przestrzeni było 50 obozów. W każdym obozie było 2–5 tys. ludzi. Większość to byli ludzie niewinni. Tam, gdzie ja się znalazłem, nie było wielu Polaków. I Bogu dzięki, że tam się dostałem, bo gdybym pojechał gdzieś na północ, nad Pieczorę, to przy moim zdrowiu pewnie bym nie wrócił. Pewnego dnia sprowadzają mnie na apel. Jestem już cały spuchnięty. Nie mogę się ruszać. Wtedy dowiaduję się, że mam rozpocząć pracę nad tym teatrem. Wszyscy wychodzą zobaczyć, jak ten artysta wygląda. Wtedy wiedziałem, że otwiera się przede mną jedyna szansa przeżycia. Wiedziałem, że muszę im jakoś zaimponować. W takiej sytuacji wygłosiłem mowę na temat ważności śpiewu chóralnego. Cytowałem specjalistów, których sam sobie wymyśliłem. Sam wymyśliłem nazwiska. Sam wymyśliłem definicje. Oni byli zachwyceni. Ale była rzecz o wiele gorsza. Rozeszła się pogłoska, że kto się zgłosi do takiego zespołu, będzie mniej pracował, dostawał dodatkowy przy-

dział chleba, no i będzie miał większą szansę na wcześniejsze opuszczenie więzienia. Przecież te więzienia traktowało się jako system przeszkolenia, w sensie pozyskania ludzkiego oblicza przez tych więźniów. Niech pan sobie wyobrazi, że nagle na tą próbę przychodzi mi 10 tys. ludzi. A mnie z tego wszystkiego potrzeba może 30 osób. I co robić? Byli tam wszyscy. Ludzie niewinni i mordercy, dla których zabić człowieka nie znaczyło nic. W obozie byliśmy pod podwójnym terrorem. Ten zewnętrzny ze strony tych, którzy nas pilnowali, i o wiele gorszy, wewnętrzny, tych, którzy terroryzowali, a których bali się też ci, którzy nas pilnowali od strony zewnętrznej. To była makabra. Ja sobie wyrobiłem tam swoją pozycję nie tylko pracą artystyczną, ale również tym, że ja tym bandytom pisałem prośby „o pominięcie”. Z każdego bandyty robiłem anioła, choć wiadomo było, że taki morderca ma ze 20 osób na sumieniu. Ale ja tak lirycznie pisałem te podania, że oni sami w to wierzyli. Ode mnie odchodził zupełnie nowy człowiek z niezwykłą wdzięcznością, że ja mu tak pomogłem. To niesłychane zjawisko psychologiczne! Ale dzięki temu przeżyłem. Na szczęście jakoś się udało... Lekarze byli. Ale jacy to lekarze. Poza jednym starszym, który też był więźniem. Ci wolni lekarze o niczym pojęcia nie mieli. A może byli tylko na funkcji lekarza.

– **W końcu Pan wyszedł.**

– Tak. Parę rzeczy się na to złożyło. Miałem niski wyrok – 5 lat. Byłem chory.

A także polski rząd miał podpisany układ z rządem sowieckim w sprawie niskich wymiarów. 1 października 1948 roku przyjechałem do Polski. Od razu zapisałem się na studia. Pisałem felietony kulturalne, publikowałem wiersze. Pisałem dla teatru. W październiku 1949 roku w Starym Teatrze wystawiono moje *Rozmowy z Chopinem* wyreżyserowane przez Bronisława Dąbrowskiego przy wspaniałej obsadzie Tadeusza Łomnickiego, Haliny Mikołajskiej i Reginy Smendzianki. Podreperowałem zdrowie i siedziałem długo w Krakowie aż do października 1956. Należałem do kolegium „Życia Literackiego”, gdzie prowadziłem stałą rubrykę „Żywocik Literacki”. Niektórzy do dziś go jeszcze pamiętają. Potem pojawiły się komplikacje zdrowotne. Moi lekarze byli zdania, że powinienem pojechać na południe Europy. Gdy tylko znalazły się możliwości, dostałem pozwolenie na zakup 100 dolarów i wyjechałem w 1961 roku najpierw do Wiednia, później na kilka lat do Paryża. To było tzw. stypendium odplatne. Na Sorbonie otrzymałem już normalne stypendium i mogłem podjąć studia. W Paryżu dobrze mi się mieszało i pracowało. Ale z tego miasta wyrzuciły mnie wyraźnie doskwierające problemy reumatyczne. Paryż jest pięknym miastem, ale pod względem zdrowotnym i klimatycznym dla wielu zabójczym. Właśnie wtedy wyjechałem do Włoch. I do dziś tam mieszkam. Ale wracam ciągle do Krakowa.

– **Dziękuję Panu za rozmowę.**

---

JERZY HORDYŃSKI zmarł w Rzymie 14 czerwca 1998 roku. Nie doczekał – niestety – publikacji tej rozmowy, przeprowadzonej w Krakowie w październiku ub. roku. Żegnamy Go ze smutkiem. Urodził się w 1919 roku w Jarosławiu. Studiował prawo, orientalistykę i polonistykę na Uniwersytecie Lwowskim. Pierwszy wiersz ogłosił drukiem w 1935 roku. W przedwojennym Lwowie należał do czołowej grupy młodych poetów. Podczas okupacji niemieckiej publikował wiersze w konspiracyjnych antologiach oraz w prasie podziemnej. Kontynuował studia na tajnym uniwersytecie. Po powrotnym zajęciu Lwowa przez armię sowiecką został aresztowany. W latach 1945–48 przebywał w więzieniach i łagrach na terenie ZSRR. Po powrocie do kraju zamieszkał w Krakowie, gdzie ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wyjechał z kraju w 1961 roku i po trzyletnim pobycie w Paryżu oraz w Wiedniu osiedlił się w Rzymie w 1964 r. Uprawiał poezję oraz publicystykę kulturalną. W kraju wydał następujące zbiory poezji: *Powrót do światła* (1951), *Wędrowniki* (1955), *Pod znakiem Wagi* (1959), *Rozmowy z Chopinem* (1961), *Głowa na pieńku* (1965), *Koncert włoski* (1968), *Błędne koło* (1969), *Egzorcyzmy* (1972), *Wiersze wybrane* (1976), *Epitafium dla kota* (1977), *Cena oddechu* (1982), *Ślad* (1985), *Oddalenia* (1989), *Seans* (1995) i *Festyn* (w przygotowaniu w WL). Utwory poety przełożone na kilkanaście języków znalazły się w wielu antologiach zagranicznych. Prócz tego wybory wierszy Hordyńskiego wydano po francusku, niemiecku, holendersku, włosku i ukraińsku. Za twórczość poetycką otrzymał szereg włoskich nagród o charakterze międzynarodowym: Nagrodę rzymskiej Akademii „Città Eterna” w 1971, „Gran Premio Italia 72”, Nagrodę Burmistrza Rzymu i Rzymskiej Prasy Kulturalnej w 1975, Nagrodę Muz Międzynarodowej Akademii „Le Muse” we Florencji w 1981. Równocześnie został powołany w poczet członków tejże Akademii.

---

# POEZJA

Jerzy  
Hordyński

## Porównanie

Wśród innych gór uczyłem się wierszy,  
które dopiero miały mnie nawiedzić.  
Szczyt naprzeciw domu zaglądał do nieba,  
nikt nie wiedział dlaczego nazywa się Owidiusz –  
czyżby tam się zabląkał wygnany poeta?  
Huculi na trombitach podnosili chmury,  
w dole Czeremosz zmuszał tratwy do galopu.  
Niewiele więcej pamiętają zdjęcia,  
które pozwolił mi zachować czas,  
abym uwierzył, że naprawdę minął.

## Semper Fidelis

*Docentowi Witoldowi Szolginii*

Pamięć kołaczę do wygnanych domów,  
sprawdza cmentarze – jeszcze są na miejscu,  
każda ulica odzyskuje nazwę,  
by nie bładzili żywi i umarli,  
choć naprawdę tam nikogo nie ma.  
Wszystkie kierunki prowadzą do Lwowa!  
Ostatni Noe skonstruował arkę,  
zgrupował wieki, przywołał języki,  
wiatrom nakazał dąć w rozwiane żagle,  
aż wreszcie stanął nad wskrzeszonym miastem,  
sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem,  
jak oszukany wieszcz na pustym placu.  
Tak dochowuje się wierności snom  
i tym co padli z uśmiechem na ustach.

## Wspomnienie

Ostap Ortwin – taki lwowski krytyk,  
miał trochę ze szlagona, a trochę z rabina.  
Dziwił się w pierwszych miesiącach wojny,  
że wiersze piszę głównie w trybie przeszłym.  
Poezja – mówił – to czas teraźniejszy,  
on mieści to co było, co jest i co będzie.  
W sowieckim Lwowie, trzęsący się z trwogi,  
czekaliśmy na wiosnę. A ja dowodziłem,  
że czas jest nieistotny, bo wszystek już minął.  
Przecież w naszej przeszłości szukamy nadziei,  
wspominamy zwycięstwa i płacemy klęski,  
więc co spełnione będzie dniem dzisiejszym.  
W parę miesięcy później Ostap Ortwin nie żył.  
Podzielił los rodaków w hitlerowskim Lwowie.

## Rehabilitacja

Nie będę nudził, stroszył się jak paw,  
w rękę potrząsał palmą męczeństwa,  
nie będę pisał o sowieckich tiumnach  
i nie będę wspominał – przekląłem na zawsze.  
Niech inni mszczą się językiem i piórem.  
Prawie nikogo już to nie obchodzi.  
Nie chcę zapełniać domu upiorami  
i żyć powtórnie w rozstrzelanym czasie.  
Wystarczy, że codziennie budzę się o piątej,  
w snach biegnę na apel, drzę przed egzekucją.  
W Wielki Piątek roku czterdziestego piątego  
stanął mój zegar i dotąd utyka.  
Data skłaniała do śmiałych skojarzeń,  
lecz Mesjasza nie było, zjawił się tylko kat.  
Niewiele brakowało, bym poczuł się winny  
istnienia. Cztery lata czekały na mój powrót.  
Wróciłem z piętnem zbrodni, która zwie się  
Polska.

Pół wieku przeszło, zanim nadeszło  
ze Lwowa obwieszczenie, że jestem niewinny  
i że władza gotowa nawet coś tam zwrócić.



Kazimierz Kuczman

## ROZDÓŁ I KOMARNO WE WSPOMNIENIACH KAROLINY LANCKOROŃSKIEJ

Karolina Lanckorońska (zdjęcie z roku 1927).  
Fot. w archiwum Zamku Królewskiego na Wawelu



Profesor Karolina Lanckorońska, ostatnia przedstawicielka zasłużonego rodu, doktor honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, „żywa legenda”, w sierpniu tego roku skończyła sto lat życia. To wyjątkowy przypadek, że wypada pogratulować osiągnięcia poważnego wieku damie. Nie potrafię dokładnie określić, kiedy Uczona znalazła miejsce w mojej świadomości. Niewątpliwie wcześniej, już w czasie studiów uniwersyteckich usłyszałem – czy może przeczytałem – o Jej wybitnym ojcu Karolu, związanym z odnawianiem Wawelu na przełomie ostatnich dwu stuleci, fundatorze nagrobka królowej Jadwigi w Katedrze wawelskiej. Założycielkę Fundacji im. Lanckorońskich i Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, wydawcę i redaktora monumentalnych, największych serii źródeł dotyczących historii Polski, osobiście miałem okazję poznać stosunkowo późno, w roku 1986, po przyznaniu mi przez Nią naukowego stypendium do Rzymu. Siła charakteru, witalność, mądrość życiowa, urok osobisty, serdeczność, poczucie humoru, kolosalna wiedza historyczna, to cechy Jej niepospolitej osobowości, które fascy-

nują każdego, kto miał okazję nawiązać z Nią bliższy kontakt. Wiedziałem już wtedy o istnieniu rodzinnej, tajemniczej kolekcji obrazów Lanckorońskich, jako pracownik muzeum zamkowego na Wawelu nigdy bym jednak nie przypuszczał, że kiedyś przyjdzie mi opiekować się główną częścią tej kolekcji. Przypomnę: Zamek Królewski na Wawelu z końcem 1994 roku otrzymał od Karoliny Lanckorońskiej niezwyklej wartości dar dzieł sztuki, którego trzon stanowią 84 gotyckie i renesansowe obrazy, w zdecydowanej większości włoskie (zob. CL 1/95). Trzydzieści odnowionych obrazów można obecnie obejrzeć na wystawie w zamku wawelskim, zatytułowanej Donatorce – w hołdzie.

Rozdół, Komarno – to miejscowości w okolicach Lwowa, o których po raz pierwszy usłyszałem od ich Dziedziczki. Główną siedzibą Lanckorońskich był okazały, neorokokowy pałac w Wiedniu, wzniesiony przez Jej ojca z końcem XIX wieku. W rozbudowanym przez niego w latach osiemdziesiątych minionego stulecia pałacu rozdzolskim toczyło się co roku przez kilka miesięcy bujne życie rodzinne i towarzyskie. Utrwalone w około 200 rysunkach Jacka Malczewskiego, przyjaciela i podopiecznego Karola Lanckorońskiego, z czasem zostało opisane barwnym, literackim językiem przez samą Profesor Lanckorońską w kilku numerach „Tygodnika Powszechnego” z roku 1995 (fakt ten odnotował kwartalnik „Cracovia–Leopolis”). To rodzinne życie w Rozdolu z przełomu stuleci wycisnęło olbrzymie piętno na kształtującej się osobowości kilkuletniej Karoliny, dziecka europejskiej elity kulturalnej (Jej matka, Małgorzata z domu Lichnowski, była Niemką, w domu posługiwano się językiem francuskim), z czasem dumną reprezentantką polskość, porucznikiem Armii Krajowej, więźniem obozu koncentracyjnego w Rawensbrück. Dziś wiekowa Pani Profesor ma do tego świata „rozdolskiego” olbrzymi sentyment, a zarazem ciepły dystans. „Niezbyt lubiłam – mówi – gdy przyjeżdżał do Rozdołu Malczewski. Musiałam mu pozować, siedzieć nieruchomo. Skarżył się moim rodzicom, że Karolina jest zbyt ruchliwa i nie siedzi spokojnie”. Jej starszy, przyrodni brat Antoni i młodsza siostra Adelajda nie sprawiali tyle kłopotów. Z wielkim artystą zetknęła się po raz ostatni w Krakowie, w roku 1929 – martwym, na łożu śmierci. Przeżyła bardzo jego odejście. Tekę z 228 rysunkami „pana Jacka” (część z nich przedstawia również wyprawę archeologiczną Jej ojca, z udziałem kilku uczonych i artysty do Pamfilii i Pizydii w Azji Mniejszej) po zakończeniu wojny Profesor Lanckorońska odkryła przypadkiem wśród papierowych szpagatów w szu-

fladzie komody, która miała być właśnie wyrzucona. „Podeszłam do brata, pokazałam mu moje odkrycie i mówię: Toniu! Zobacz, co znalazłam!”. Przekazała je również, w grudniu 1994 roku, do Zamku Królewskiego na Wawelu.

Gdy napisałem do Pani Profesor, że obejrzałem (częściowo zdewastowane) pałace w Rozdole i Komarnie, odebrała to ze wzruszeniem, a zarazem oceniła je – chyba nie tylko jako historyk sztuki, lecz osoba wyczuwająca, kiedy należy zachować skromność – niezbyt wysoko. „Niech Pan nie myśli, że ten Rozdół z lat osiemdziesiątych XIX w. był piękny, jak był cały! Ale oczywiście jego wspomnienie jest mi drogie. Dom w Komarnie, którego nie nazywaliśmy pałacem, był bardzo prosty i przyzwoicie umeblowany, ale poza książkami niczego tam nie było. Oba kościoły, w Rozdole i Komarnie, były wspaniałe, jak na prowincjonalne świątynie naszych stron. Wyposażenie ich, szczególnie rozdolskiego, było bogate”. Na wystawie wawelskiej prezentowana jest niewielka akwarela Jacka Malczewskiego ukazująca panoramę Komarna, ofiarowana Zamkowi Królewskiemu na Wawelu przez Panią Profesor w ubiegłym roku. Ofiarodawczyni telefonicznie wyjaśniła mi okoliczności powstania obrazka. Było to w czasie manewrów wojskowych w okolicy tej miejscowości, z udziałem cesarza Franciszka Józefa. Malczewski prosił Jej ojca, aby zabrał go za miasto. Chciał zobaczyć migające barwne mundury wojskowe. Utrwalony wtedy widoczek Komarna wykorzystany był podobno na okładkę menu w czasie przyjęcia wydanego na cześć cesarza przez Karola Lanckorońskiego.

Już w czasie moich pierwszych kontaktów z Profesorem Lanckorońską usłyszałem z Jej ust wiele zachwyty na temat ludu wiejskiego zamieszkującego jej rodzinne posiadłości. „Cóż to byli za wspaniali chłopci! Mówili piękną, choć

niewielką archaiczną polszczyzną. Jak oni cudownie wymawiali «lanckorońszczyzna»!” Przywiązanie do ziemi i stosunek do ludu wiejskiego odziedziczyła po ojcu (w obecnym roku przypada 150. rocznica jego urodzin). Stanisław Krzywoszewski w roku 1903 w piśmie „Życie i Sztuka” napisał: „Hr. Lanckoroński posiada we wschodniej Galicji rozległe dobra. Ludność rusińska, zamieszkująca te włości, ma w nim dobrego opiekuna, który szanuje odrębność religii i języka i przestrzega, by tej odrębności zgoła nie krępowano. Kiedy w całej niemal Galicji zarobek żniwiarzy wynosił «sноп czternasty», w majątkach hr. L. obliczano go na «sноп dziewiąty». Szkoły i kościoły otrzymują odeń hojne zapomogi”.

W czasie mego ostatniego pobytu w Rzymie, w ubiegłym roku, wielokrotnie w rozmowie Profesor Lanckorońska wracała do wspomnień związanych z majątkami rodzinnymi w Rozdole i Komarnie (do Lanckorońskich należała również Jagielnica we wschodniej i Wodzisław w centralnej Polsce, a także dobra w Austrii). Nieco prowokacyjnie zapytałem: „Pani Profesor, kto ufundował kościół w Chłopach [wieś koło Komarna]? Dowcipnie, nie bez dumy, odpowiedziała: „Chłopy i ja. Chodziliśmy do kościoła w Komarnie i uradziliśmy tam z chłopami z Chłopów, i z księdzem, że wybudujemy im nowy kościół. Chłopi podeszli do sprawy z wielkim entuzjazmem. Do wybuchu wojny zdążyli nawet wyposażyć nowy kościół w ołtarz i dwie rzeźbione figury. Dziś ten kościół jest cerkwią”. Zdradziłem mojej Rozmówczyni, że jeszcze obecnie jest wspominana przez niektórych mieszkańców Komarna. Początkowo nie dowierzała mi. Uwierzyła, gdy nadmieniałem, że starsi Ukraińcy pamiętają Ją jeżdżącą konno. Opowiedziała mi w związku z tym interesującą historyjkę, jakże znamienne okreśiającą jej osobowość. Gdy



Widok Komarna. Akwarela Jacka Malczewskiego, 1896.  
Fot. Stanisław Michta

zrobiła we Lwowie habilitację, chłopci zastanawiali się, co to takiego habilitacja, czy to dla nich dobrze, czy źle, żaden bowiem dotychczasowy dziedziec w Komarnie nie habilitował się. Pewien tamtejszy poseł wyjaśnił im, że jest to związane z Jej pracą na uniwersytecie. Oburzyli się, że uczy we Lwowie, a nie ich. „I ja się tym przejęłam. Kupiłam przezrocza i organizowałam dla nich wykłady z zakresu historii sztuki. Aby poruszyć ich wyobraźnię, jak wielka jest Bazylika św. Piotra w Rzymie, podałam jej powierzchnię w morgach. Przychodziło do mnie więcej ludzi niż do księdza plebana do kościoła!”

Wychowanka uniwersytetu wiedeńskiego, na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie zatrudniła się dzięki namowom Leona Pinińskiego, przyjaciela Jej ojca, wybitnego profesora prawa rzymskiego, byłego namiestnika Galicji, ofiarodawcy cennej kolekcji dzieł sztuki dla Zamku Królewskiego na Wawelu. Historycy wiedzą, a Pani Lanckorońska szczególnie podkreśla, iż Jej ojciec i Piniński toczyli boje w Izbie Panów parlamentu wiedeńskiego na rzecz opuszczenia Wawelu przez wojsko austriackie. Po habilitacji we Lwowie Karolina Lanckorońska nie do czekała się tam tytułu profesora. Realizację wniosku o przyznanie Jej tego tytułu uniemożliwił wybuch wojny. „Zamiast przysięgi profesorskiej rok później składałam przysięgę w Armii Krajowej”. Znakomita w skali europejskiej badaczka renesansu włoskiego, zwłaszcza twórczości Michała Anioła, w okresie międzywojennym była jednym z głównych filarów historii sztuki w Polsce. Do Jej najzdolniejszych uczniów należał Lech Kalinowski, obecnie emerytowany profesor UJ, chluba polskiej historii sztuki, Jej wieloletni przyjaciel. Wraz z wkroczeniem Rosjan do Lwowa rozpoczął się nowy, „wojenny” etap w życiu Karoliny Lanckorońskiej, utrwalony w pamiętnikach, które, jak sobie zażyczyła, mogą być wydane dopiero po Jej śmierci. Żądni tej ciekawej lektury życzymy jednak Pani Profesor, aby książka dotarła do naszych rąk jak najpóźniej.

PS. Wiedza o zasługach rodziny Lanckorońskich, której finał to najpiękniejszy akord tego rodu, zdecydowanie rozszerzyła się po wielkim, największym w dziejach polskiego muzealnictwa darze, docenianym przez naukę światową. Bardziej zainteresowanych czytelników odsyłam do wydawnictw: S. Cynarski, *Dzieje rodu Lanckorońskich*, Kraków 1996; Donatorce – w hołdzie, Katalog wystawy w Zamku Królewskim na Wawelu, Kraków 1998 (w druku) oraz *Folia Historiae Artium S.N.*, t. 4, 1998 (tom dedykowany Jubilatce, w druku).

## Kraków we Lwowie

W dniach 11–17 maja odbyły się **Dni Krakowa we Lwowie**. Impreza została zorganizowana – jako prezentacja kultury Krakowa – przez władze tego miasta we współpracy z administracją Lwowa. Jest to poszerzona formuła „Dni Młodzieży we Lwowie”, które w ubiegłych latach urządzało krakowskie Centrum Młodzieży im. dra Jordana. Do tegorocznej imprezy włączyło się szereg instytucji i osób z Krakowa. Nie będziemy ich wymieniać – uczyniły to krakowskie gazety. Proponujemy natomiast kilka tekstów, napisanych przez uczestników Dni – przedstawimy je sukcesywnie w kolejnych numerach CL. Jako pierwsza pisze znana aktorka i reżyserka krakowska.



Autorka przed grobem Zapolskiej na Cmentarzu Łyczakowskim

Nina Repetowska

## MOJE MARZENIE

Z Gabriłą Zapolską „trzymam się mocno” od momentu, gdy kilka lat temu w ramach **KRAKOWSKIEGO TEATRU FAKTU** wystawiłam monodram *Geniale Frau. Rzecz o Gabrieli Zapolskiej* według scenariusza Zbigniewa Bauera. Ta wspaniała polska artystka, o której Boy pisał, że zrobiła więcej w polskiej dramaturgii niż całe zastępy mężczyzn, znana z twórczości nie tylko w Polsce, ale także w świecie, odchodziła ze sceny rozpaczliwie osamotniona. Działo się to właśnie we Lwowie w 1921 roku. Po dwudziestu latach w tym samym mieście został zamordowany przez hitlerowców Tadeusz Boy-Zeleński. Dziwne miasto.

Mój monodram o Zapolskiej to studium przemijania i samotności. Akcja rozgrywa się we Lwowie ogarniętym wojną. Zapolska podsumowuje swoje życie, prowadząc rozmowę z nieobecny mężem, którego ciągle przyzywa do Lwowa, na którego powrót beznadziejnie czeka. Gra swój teatr przed samą sobą. W pustych ścianach rozlicza się z przeszłością. Grałam monodram o Zapolskiej w wielu miastach, również poza granicami kraju, z dużym powodzeniem. Ale moim marzeniem było zagrać Zapolską właśnie we Lwowie, spotkać się po spektaklu z publicznością, a potem odwiedzić artystkę na Łyczakowie. Zawieźć jej kwiaty i znicze z Krakowa, którego tak nie nawidziła, bo tu nazwali ją „podstarzałą wszeźtecznicą”. Z Krakowa, który musiała opuścić, bo „Pani Bednarzewska była ważniejsza”. To właśnie Kraków, dla którego tyle zrobiła, zamieniła na Lwów.

Wczesną wiosną tego roku moje marzenie zaczęło nabierać kształtów realnych. Zostałam zaproszona do uczestnictwa w festiwalu „Dni Krakowa we Lwowie”. Spektakl miał się odbyć 12 maja w „Centrum Kultury Dzyga”. Żyłam tym wyjazdem, koncentrując się głównie na tym, jakie kwiaty zabrać, aby nie zwiędły, wieniec czy wiązankę, jakie mają być napisy na szarfach, no i oczywiście rozsadało mnie szczęście z powodu realizacji marzeń. W takiej sytuacji nie myśli się na przykład o paszporcie! Niemniej w noc poprzedzającą wyjazd dostałam „sygnał” od Gabrieli – ja naprawdę mam z nią kontakt metafizyczny. O drugiej w nocy kazała mi zająrzeć do paszportu – był nieważny od paru miesięcy! Tego, co przeżyłam, nie podejmuję się opisać. Jedno pamiętam: ani na sekundę nie zwątpiłam w to, że zagram Zapolską w czasie festiwalu w wyznaczonym terminie. Rano klęczałam w biurze paszportowym przed Panią Dyrektorką i mówiłam: *Albo mnie zaadoptujecie, albo się zabiję – tak mam pistolet nabyty* – tak powiedziała Zapolska (chodziło o adopcję artystyczną w Paryżu). A Repetowska mówi: *Albo mi dacie paszport, albo się otruję – tak mam pastylki przygotowane*. Cudowna Pani Dyrektorka zrozumiała sytuację. O godzinie 16 w tym samym dniu, czyli 11 maja, odebrałam nowiusienki paszport (niech żyją nowe czasy!). Niestety grupa artystów z Polski, w której i ja miałam się znaleźć, musiała odjechać beze mnie. Jak mnie poinformowano, stropiony Leszek Długosz pokiwiał głową, komentarzy nie było. Następnego dnia rano dyrektor Śródmiejskiego Ośrodka Kultury (gdzie obecnie działa Krakowski Teatr Faktu), uroczy i wyrozumiały pan Janusz Paluch od-

---

## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO HISTORYCZNY

---

### GOŁOGÓRY (pasmo)

Górzyste pasmo, stanowiące ostrą krawędź płaskowyżu podolskiego (zob. Podole), na jego styku z niziną nadbużańską czyli Podbużem. Stanowi zarazem europejski dział wód (między Bałtykiem a M. Czarnym). G. spadają stromymi stokami ku płn. zachodowi (różnica wysokości dochodzi tu do 200 m), zaś po stronie płd. przechodzą łagodnie w wyżynę Opola (zob.). Przebiegająca wysokość pasma wynosi 400 m n.p.m., a najwyższy szczyt, Kamula, liczy 473 m.

G. zaczynają się po płd.wsch. stronie Lwowa (stanowiąc niejako przedłużenie wału Roztocza (zob. CL 2/98) i biegną na płn. wschód – po kotlinę rzeki Złoczówki (dopływ Bugu), a długość pasma wynosi ok. 90 km. Przedłużeniem G. po tamtej stronie są Woroniaki (zob.), a jedne i drugie stanowią części *grzbietu gołogórsko-krzemienieckiego*. W rozcięciu grzbietu kotliną Złoczówki leży Złoczów oraz przebiega linia komunikacyjna (drogowa i kolejowa) ze Lwowa do Tarnopola. Mniej więcej w połowie pasma G. (w rejonie Przemyślan) oddziela się odcinek w kierunku płd.wsch. odnoga, pokrywająca wzgórzami powiaty przemyski i brzeżański. Nazwa pasma pochodzi od wsi Gołogóry, położonej w pobliżu niezalesionych wzgórz, mimo iż całe pasmo jest przeważnie pokryte lasami, miejscami skaliste. Z G. spływają liczne potoki – tu biorą swój początek rzeki Gnila i Złota Lipa.

G. przecina granica województw lwowskiego i tarnopolskiego. Obszar wzgórz jest obficie zaludniony. (A.C.)

### MIODOBORY

Pasma wapiennych wzgórz, przecinające Podole (zob.) ukośnie, poczynając od jego rubieży płn. (od Woroniaków – zob.) – w kierunku płd.wsch., do Zbrucza w rejonie Grzymałowa i Toustego. Dalszy ciąg M. (zwanych też *Toltrami*), przeciętych przełomem Zbrucza, biegnie po wsch. stronie tej rzeki ku południowi i kończy się w okolicy Kamieńca Podolskiego. Długość opisywanej tu części M. (do Zbrucza) wynosi ok. 75 km. Całość mieści się w granicach woj. tarnopolskiego.

wiół mnie własnym samochodem do Medyki, przeprowadził przez granicę przejściem dla pieszych, taszcząc kostiumy i szlafrok Zapolskiej. Ja niosłam białe-czerwone kwiaty i znicze. Wszyscy na granicy byli uprzedzeni, mój „duch opiekuńczy”, utalentowany młody poeta i teatrolog Marek Pieniążek, działał brawurowo. Przepuszczano nas błyskawicznie przez wszystkie posterunki. Pan Dyrektor wrócił do Polski, a pan Jasio z Centrum Młodzieży przywiózł mnie i Marka do Lwowa. O godzinie 20, czyli zgodnie z planem (dzięki pomocy dyrektor Lesi Antonowicz i Marka) rozpoczęłam spektakl.

To było dla mnie niesamowite przeżycie – czułam i widziałam Zapolską. Płynęła do mnie z czarnego sufitu jakaś niezwykła energia. Sala dziwna, długa, wypełniona szczególnie publicznością, rewelacyjna akustyka pozwalała na niuanse. Skupienie publiczności graniczyło z mistycznym uniesieniem. Byłam szczęśliwa jako aktorka i jako człowiek. Spektakl zaszczytali swoją obecnością artyści lwowskiego Teatru Polskiego, przedstawiciele władz, a także Leszek Długosz, który przyszedł prosto po swoim koncercie. Dostałam koszyczek białych konwalii ze Lwowa, a wręczyła mi je Małgosia Then, krakowska aktorka. Potem były rozmowy z prasą, radiem i publicznością.

Rano następnego dnia wyprawa na Cmentarz Łyczakowski do Gabrieli. Towarzyszyli mi: aktorka Teatru Polskiego Jola Martynowicz, Małgosia Then, Leszek Długosz – nasz cudowny śpiewający poeta, i mój opiekun Marek Pieniążek. Złożyliśmy kwiaty w hołdzie Genialnej Polce, zapaliliśmy białe-czerwone światełka, a ja zamyśliłam się nad Jej słowami, które wypowiedziała w finale monodramu: *W sumie nic nie zostaje z aktora, z pisarza,*

*z człowieka, nic, na wszystko spada ziemia...* Nie, tak nie jest. Została Jej twórczość. We Lwowie właśnie grają *Moralność pani Dulskiej*. Ulica, na której mieści się Jej willa „Skiz”, została nazwana Jej imieniem, a na Jej grobie zastaliśmy świeże kwiaty. Pamięć o Zapolskiej żyje. Tego dnia, a było to 13 maja, kiedy po południu szłam przez lwowski Rynek, podeszła do mnie kobieta, ucałowała mnie i wręczyła mi bukiet białego bzu. Powiedziała: – To dla Zapolskiej.

Konwalie i bez przywiozłam do Krakowa – zasuszyłam. Pamięć nie ginie. Marzenie się spełniło.

---

NINA REPETOWSKA, ur. w Krakowie. Aktorka, ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie. W krakowskich teatrach zagrała ponad 100 ról w repertuarze klasycznym i awangardowym. W latach 60. założyła Studencki Teatr.... „Hefajstos”, a w r.1988 Krakowski Teatr Faktu. W l. 1993–97 była dyrektorem Teatru „Bagatela”. Ostatnio reaktywowała Teatr Faktu (działa przy Śródm. Ośrodku Kultury).

---

*Z okazji Dni Krakowa we Lwowie udali się tam krakowscy dziennikarze: Krzysztof Samborski, Janusz Motyka i Wojciech Walczyk. W „Dzienniku Polskim” 120/98 zamieścili obszerny artykuł pt. „Jedziemy do Lwowa”, w którym zawarli swoje spostrzeżenia i rady na temat podróży i granicznych formalności, o komunikacji miejskiej, hotelach i restauracjach oraz informacje o zabytkach i muzeach.*

*Gośćmi Dni Krakowa we Lwowie byli również pan Prezydent Krakowa Józef Lassota i przewodniczący Rady Miasta Krakowa Stanisław Handzlik.*

Dnia 9 maja zmarła w Krakowie

### **śp. LUDWIKA CASTORI-DĄBROWSKA**

wybitna aktorka, wdowa po znakomitym reżyserze i dyrektorze teatrów Bronisławie Dąbrowskim.

W nekrologu, zamieszczonym w „Dzienniku Polskim” (44/98) napisano: *Kochała TEATR i LWÓW ponad wszystko. Człowiek wielkiego serca, pełnego dobroci, wrażliwości i życzliwości dla ludzi. Przed rokiem, w CL 1/97 zamieściliśmy Jej sylwetkę.*

W ostatnich, emerytalnych latach życia pani Lidka (jak Ją bliscy nazywali) chętnie spotykała się z wieloma środowiskami w Krakowie, także z lwowiakami. Uświetniała recytacjami msze św. rocznicowe 22 listopada i inne imprezy. Na spotkaniu klubowym przed kilku laty opowiadała o lwowskim teatrze i o sobie, a potem – za naszą namową – spisała to i opublikowała.

Szkoda, że odeszła. Spoczęła obok męża na Cmentarzu Salwatorskim – owym zastępczym krakowskim Łyczakowie. Z żalem żegna Ją Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. oraz Redakcja „Cracovia–Leopolis”.

# SYLWETKI

## KRAKOWSKI EPIZOD W ŻYCIU JÓZEFA SWATONIA

Józef Swatoni (1898–1975): muzyk z wykształcenia i tradycji rodzinnych. Pedagog, publicysta i autor podręczników. Kompozytor, animator ruchu muzycznego. Pomysłodawca i organizator wielu działań, służących propagowaniu kultury muzycznej – był m.in. współzałożycielem Ludowego Instytutu Muzycznego, Zjednoczenia Towarzystw Śpiewaczy i Instrumentalnych oraz Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Jego działalność pozostawiła znaczący ślad w takich ośrodkach życia muzycznego, jak Lwów, Kraków, Warszawa.

J. Swatoni zamilowania muzyczne wyniósł z rodzinnego domu, którego atmosfera była przepojona muzycznymi pasjami ojca, znanego we Lwowie lutnika i konserwatora instrumentów muzycznych. Po ukończeniu IV Gimnazjum, gdzie poznał m.in. Tadeusza Sygietyńskiego i zaprzyjaźnił się nim, rozpoczął studia w lwowskim Konserwatorium, wybierając klasę skrzypiec Maurycyego Wolfstala. Po ukończeniu tej uczelni został skrzypkiem w orkiestrze Opery Lwowskiej, jednak po kilku latach opuścił Lwów i – tu zaczyna się krakowski epizod życia młodego muzyka.

W Krakowie prowadzi budzącą uznanie pracę pedagogiczną na stanowisku nauczyciela i doradcy metodycznego na obszarze województw krakowskiego i kieleckiego. Zostaje kierownikiem wakacyjnych kursów metodycznych dla nauczycieli śpiewu, współpracuje z chórem „Echo”. Na szczególną jednak uwagę zasługuje inicjatywa Swatonia organizowania na dziedzińcu wawelskim „Święta Pieśni” w ramach Dni Krakowa. Były to festiwale śpiewacze i przeglądy najlepszych zespołów chóralnych z Polski południowej, odbywane w latach 1936–39.

Ten niezwykle trafny pomysł, aby zapewnić zapraszanym zespołom śpiewaczym godną oprawę, świadczy o wielkiej pasji Józefa Swatonia, z jaką oddawał się propagowaniu pieśni ludowych i patriotycznych. Przeglądając roczniki „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z tamtych lat, dowiadujemy się, że obchody Dni Krakowa obfitowały w różnego rodzaju imprezy: zawody sportowe, widowiska obrzędowe i teatralne; zapraszano znanych artystów i znane zespoły – w tym „Wesołą Lwowską Fałę”, a udział gości

W części płn. M. stanowią łańcuch licznych wzgórz, a dopiero w rejonie Zbaraża stają się zwartym pasmem górskim o przeciętnej wysokości 400 m n.p.m., obfitującym w malownicze wzniesienia, skały i widoki (okolica Haluszczyńiec, Skałata, Nowosiółki Skałackiej, Ostapia, Okna, Horodnicy). Szczególnie atrakcyjny jest przełom Zbrucza – malowniczy wąwóz o dług. 20 km, przebijający się meandrami przez zalesione M. Jego najpiękniejsze miejsce to wieś Kręcilów, niegdyś wyposażona w schronisko aktywne na terenie Tarnopolszczyzny w latach międzywojennych Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Dzięki wielu atrakcjom turystycznym, M. pozyskały sobie miano *Podolskiej Szwajcarii*.

M. stanowią kuriozum geologiczne: jest to wynurzona z morza *sarmackiego* rafa koralowomuszlowa. Występowała tu ponadto unikatowa roślinność – resztki wschodnioeuropejskiej flory stepowej. (A.C.)

### OPOLE

Nazwa *Opole* odnosi się do zachodniej części Podola (zob.), której obszar o kształcie trójkąta opiera się na zach. o rzekę Wereszycę, od płn. o pasmo Gologór (zob.), od płd.zach. o Dniestr (lub nieco dalej – po Stanisławów), zaś granicę wsch. wyznacza dział wód między rzekami Złotą Lipą a Koropcem (dalej na wsch. rozciąga się po Zbrucz Podole *właściwe*). Krajobraz O. – w odróżnieniu od płaskiego Podola właściwego, przeciętego jarami rzek – jest górzysty, z łagodnie wyokrąglonymi grzbietami, a doliny rzek są szeroko rozwarte. O wiele większa ilość opadów niż na Podolu właściwym sprawia, że jest tu dużo lasów liściastych, a w konsekwencji powstał przemysł drzewny (tartaki). Poza tym gospodarka podobna jak na Podolu *Zimnym* (cukrownia w Chodorowie).

Analogicznie jak na Podolu właściwym układają się na O. rzeki – lewe dopływy Dniestru: Wereszyca, Ług, Świrz, Gnita Lipa, Złota Lipa.

Pod względem administracyjnym O. leży głównie w obrębie wojew. tarnopolskiego, częściowo lwowskiego i stanisławowskiego. Główne miasta: Brzeżany, Przemyślany, Rohatyn, Bursztyn, Bóbrka, Mikołajów, a za Dniestrem Halicz i Zydaczów. (A.C.)

### PODOLE

**Położenie.** Podole stanowi część tzw. *plyty czarnomorskiej* i jest dość rozległą krainą geograficzną, rozciągającą się między Przedgórzem Karpat Wschodnich (zob. CL 3/97) na płd. a Południem i Wołyniem na płn. oraz między Niziną





był szczególnie starannie omawiany w niedziel-  
nym dodatku popularnego *Ikaca*.

Kończąc opis krakowskiej działalności Jó-  
zefa Swatonia dodam jeszcze, że jestem w po-  
siadaniu zdjęcia, wykonanego przez *Foto „So-  
winiec”* Fr. Kowalkowskiego z ul. Szewskiej 2,  
na którym pan Józef z żoną Kamilą popychają  
taczki z ziemią na kopiec Marszałka Piłsud-  
skiego. Ten drobny szczegół z prywatnego życia  
J. Swatonia wzbogaca jego wizerunek o ele-  
ment patriotyzmu, który tak mocno dał o sobie  
znać podczas okupacji.

Do Armii Krajowej przystąpił Józef Swatoń  
we Lwowie, gdzie powrócił w 1939 roku. Zo-  
stał zrazu skrzypkiem w Filharmonii, ale w cza-  
sie okupacji niemieckiej podjął się kierowania  
placówką opiekuńczą dla polskich dzieci. Pro-  
wadząc z nimi zajęcia muzyczne wyłowił od-  
powiednie głosy i stworzył chór, którego reper-  
tuar był starannie dobierany w taki sposób, że  
patriotycznego przesłania można się było do-  
myślać. Nie prowadził żadnych pogadanek, nie  
interpretował tekstów w przekonaniu – był prze-  
cież pedagogiem – że ich wartości muzyczne  
i literackie przemówią do wrażliwości dzieci,  
rozbudzą przynajmniej u niektórych – lub po-  
głębią zainteresowanie – utworami wyższego  
lotu. I tak się też stało. Utwory Moniuszki, No-  
skowskiego, Wodiczki, Kazury, Wallek-Wa-  
lewskiego, Kurpińskiego ze słowami Konop-  
nickiej, Czechowicza, Romanowskiego i innych,  
stały się podstawą wychowania wymagających  
odbiorców muzyki i śpiewu.

Będąc członkiem AK, miał Józef Swatoń  
kontakt z Instytutem dra Weigla. Kierował tam  
osoby potrzebujące „dobrego” zaświadczenia,

przyjmował dzieci, które należało uchronić  
przed represjami, w tym dzieci żydowskie.  
Konspiracyjne koncerty, jakie odbywały się  
w prowadzonej przez niego placówce z udziałem  
znanych przedwojennych artystów filhar-  
monii, teatru i radia, zapewniające tym nielicz-  
nym, którym udało się zdobyć bilet na cotygo-  
dniowy koncert, przeżycie podtrzymujące na  
duchu – też były formą walki z okupantem  
i w razie dekonspiracji groziły poważnymi kon-  
sekwencjami. Koncerty odbywały się regular-  
nie co niedzielę, pod pozorem odwiedzin dzie-  
ci, aż do wiosny 1944 roku.

Dzięki kontaktom J. Swatonia z RGO za-  
kład przez niego kierowany został w całości  
przeniesiony do Rudnej k. Krakowa z częścią  
personelu i zapasami żywności, zgromadzo-  
nymi za wpływy z koncertów.

Józef Swatoń z żoną pozostał po wojnie  
przez pewien okres w Krakowie, gdzie pamięć  
jego zasług, talentu i możliwości jest jeszcze  
żywa. Potem jednak przeniósł się do Warsza-  
wy, by włączyć się w odbudowę muzycznego  
życia stolicy. Już po roku powołano go na sta-  
nowisko dyrektora departamentu Szkolnictwa  
Artystycznego. Zainicjował i popierał tam wiele  
akcji, zmierzających do odrodzenia ruchu  
muzycznego. Powołał Komitet Odbudowy Fil-  
harmonii Warszawskiej. Później piastował ko-  
lejno szereg kierowniczych stanowisk w insty-  
tucjach muzycznych, prezesował muzycznym  
stowarzyszeniom (m.in. Związkowi Muzyków  
Polskich). Był też współzałożycielem Zespołu  
Pieśni i Tańca „Mazowsze” oraz zespołu „Sta-  
rówka”. Wykładał w Państwowej Szkole Mu-  
zycznej II st. im. F. Chopina w Warszawie.  
Publikował, opracowywał podręczniki muzycz-  
ne, komponował.

Oto obszerne fragmenty bogatego życio-  
rysu Józefa Swatonia. Organizatorzy później-  
szych „Wieczorów Wawelskich” nie wiedzą, być  
może, że w latach 1936–39 lwowianin, przeby-  
wający czasowo w Krakowie, zapewnił naj-  
wspanialszą z możliwych oprawę „Święta Pie-  
śni” na renesansowym dziedzińcu wawelskim.  
Był nim właśnie Józef Swatoń.

Irena Suchanek

## POKOLENIA I OJCZYZNY

*W poprzednim numerze CL (patrz Sylwet-  
ki: „Z włoskiej ziemi do naszej”) pisaliśmy o ob-  
cokrajowcach, którzy z takich czy innych po-  
wodów przybyli na ziemię wschodniomałopol-  
skie, tam osiedli, a ich potomstwo przeważnie  
już w następnym pokoleniu było całkiem spol-  
szczone. Przedstawiliśmy dotąd trzy takie ro-*

dziny: *Riccich i Gerardów de Festenburg (CL 2/98)*, a *nieco wcześniej Stiksów (CL 2/97)*. *Zamierzamy kontynuować serię podobnych rodzinnych biografii. Materiały do poniższego artykułu otrzymaliśmy od p. dr Ireny Wallischovej, o której pisaliśmy już w CL 1/96.*

Na Cmentarzu Łyczakowskim stoją do dziś dwa nagrobki członków rodziny baronów Wallischów: rotmistrza Edwarda (1848–87) oraz Juliusza (1860–1905). Kim byli? Co to za rodzina?

Papiery rodzinne sięgają wstecz do Christophora barona de Wallisch, który urodził się w Mediolanie w 1732 r. Skąd to niemieckie nazwisko we włoskim mieście? Po prostu: Lombardia wraz ze swą stolicą Mediolanem była w tamtych czasach pod zaborem austriackim (to wyjaśnia także napływ Włochów do całej Małopolski, np. wspomniany już Ricci). Ojciec Christophora był zapewne austriackim urzędnikiem albo wojskowym, stacjonowanym w Mailand (tak po niemiecku nazywa się Mediolan).

Christophor de (czy raczej *von*) Wallisch nie dotarł jeszcze na ziemię polskie, ale pierwszy krok w tym kierunku geograficznym został uczyniony: jako wojskowy austriacki był stacjonowany na Węgrzech i tam urodził się jego syn (a może więcej dzieci – zaraz się okaże, skąd to przypuszczenie). Dosłużył się stopnia generała (*Feldmarschall-Lieutenant* to tyle co po naszymu *generał brygady*) i zmarł w 1793 roku.

Wspomniany syn, Joseph Christophor Vinzenz (Józef Krzysztof Wincenty trojga imion),



Major Józef Wallisch, zginął w Powstaniu Styczniowym

Małopolską a rzeką Boh (na Ukrainie). Za pośrednictwem Dniestru P. pozostaje w zlewisku Morza Czarnego. Tutaj omawiamy jedynie część tego obszaru, położoną na zachód od rzeki Zbrucz i posiadającą kształt nieregularnego czworoboku, zbliżonego do trójkąta. Jego zachodni wierzchołek dochodzi do rzeki Wereszycy (po płd. stronie Lwowa). Granicę płn.zach. wytyczają w sposób wyrazisty pasma Gologór (zob.) i Woroniaków (zob.), a dalej tzw. Góry Krzemienieckie. Granicę płd.zach. tworzy w przybliżeniu Dniestr (choć geologicznie linia zasięgu P. przebiega nieco w głąb Pokucia (zob. CL 2/95) – niemal po Stanisławów. Umowna granica wschodnia to rzeka Zbrucz i jego przedłużenie na północ (do Wołynia). Długość P. (w kierunku równoleżnikowym) wynosi ok. 150 km.

Pod względem geologicznym podłoże tej krainy stanowią warstwy paleozoiczne: sylur i dewon, i mezozoiczne: jura i kreda. Na tym zalegają warstwy miocenu (piaskowce i wapień), przykryte płaszczem lessowym. Występują tu słabe opady atmosferyczne, a brak wody potęguje przepuszczalność podłoża.

Pod względem administracyjnym P. pokrywa w większości województwo tarnopolskie, a jedynie rubieżę wchodzi w granice wojew. lwowskiego, stanisławowskiego i wołyńskiego. I odwrotnie: płn.zach. część wojew. tarnopolskiego wychodzi poza P. – w Pobuże.

Zakreślony wyżej geograficzny obszar P. (do Zbrucza) dzieli się na dwie części: Podole właściwe oraz Opole. Jako granicę między nimi przyjmuje się dział wód między rzekami Żółtą Lipą a Koropcem (od Nizniowa na północ). Obie te części różni ukształtowanie terenu: P. właściwe to płaskowyż, lekko nachylający się ku południowi, pocięty południkowo spływającymi do Dniestru rzekami (Koropiec, Strypa, Seret, Zbrucz i kilka mniejszych). Charakterystyczne są jary tych rzek, biegnące malowniczymi meandrami. Natomiast krajobraz Opola (zob.) jest górzysty, z łagodnie zaokrąglonymi grzbietami. Wysokość płyty podolskiej zawiera się między 300 a 400 m n.p.m., zaś kulminacje w pasmach wzgórz do 460 m n.p.m.

P. właściwe dzieli się z kolei na dwa obszary: P. Ciepłe na południu i P. Zimne na północy. Różnią się nie tylko klimatycznie, także krajobrazowo: na płd. jary są głębokie, a ich zbocza strome, na płn. płytsze i łagodniejsze. Jary podolskie datują się od epoki lodowcowej; obszar ten uległ tektonicznemu wydźwignięciu i w konsekwencji rzeki drogą erozji dostosowały swój spadek do poziomu Dniestru, żłobiąc coraz głębsze jary.



urodzony około 1790 r. na Węgrzech, też był oficerem austriackim i – uwaga: to on dotarł na nasze ziemie. Wiadomo bowiem, że ożenił się w 1868 r. (Miał 78 lat! Jest metryka ślubu) w Zalesiu koło podlowskiego Janowa. Nie wiadomo jednak, czy jego żona była już Polką; urodziła się w tymże Zalesiu, ale z domu nazywała się Józefa Gessinger (a jej matka była z domu baronówna Hagen – mogło być więc jakieś pokrewieństwo z Henrykiem Sienkiewiczem). Załóżmy więc, że jeszcze byli na pół Austriakami, ale na dobrej drodze do polonizacji.

Józef Krzysztof Wincenty miał 5 synów i córkę – ale najpewniej z pierwszego małżeństwa. Gdzie się urodziły te dzieci? Kim były? Wiadomo, że dwaj najmłodsi, Emil i Juliusz, przyszli na świat w Galicji-Małopolsce. Oni i córka Ludmiła czuli się Polakami (wspomniany na początku nagrobek Juliusza na Łyczakowie nosi polskie napisy: *baron, ziemianin, filantrop*). Starsi synowie: Edward, oficer dragonów (którego okazały nagrobek z dragonimskim czakiem wykutym w kamieniu i niemieckim napisem także oglądamy do dziś na Łyczakowie), Korneliusz i Józef – czy urodzili się w Galicji, czy, jak ich ojciec, na Węgrzech? Tego nie wiemy.

Tu dygresja: w powstaniu styczniowym walczył u boku pułkownika Marcina Borelowskiego „Lelewela”<sup>1</sup>, jako jego szef sztabu – major Józef Wallisch, okreśłany jako Węgier<sup>2</sup>, uro-

dzony w 1827 r. Zginął razem z Borelowskim w bitwie pod Batorzem (w Lubelskiem, 6 IX 1863 i został pochowany wraz z nim w jednym grobie). Nie mógł to jednak być ów wspomniany wyżej niespolszczony syn Józefa Krzysztofa Wincentego – tamten żył jeszcze kilkadziesiąt lat później. Może więc był synem innego syna generała Christophora Wallischa i czuł się w istocie Węgrem? Ale zginął za Polskę!

Wracając do głównego wątku: Emil Wallisch był nadleśniczym i mieszkał w Roźniatowie, miał podobno szyb naftowy i jakiś majątek. Ale przede wszystkim dorobił się aż jedenaściorga dzieci (z dwóch żon – drugą była Eugenia de Rosenberg) – już absolutnych Polaków. Jedną z córek była żoną nafiarczka Lenieckiego, inna lwowskiego lekarza Falkiewicza, jeszcze inna żoną znanego w Krakowie w latach powojennych dyrektora Władki. Spośród kilku synów Kazimierz został zastrzelony przez Niemców w czasie okupacji, zaś Henryk (1900–56, dr praw) był po II wojnie w Krakowie znany w kręgach adwokackich i towarzyskich.

O tym ostatnim słów kilka: urodził się w Żabnem, do szkół chodził najpierw w Wiener Neustadt (tradycja austriacka jeszcze trwała!), ale potem w konwiktie jezuickim w Chyrowie. Musiała to być dobra polska szkoła, skoro w roku 1917 uciekł do 2. Brygady Strzelców. W Polsce Odrodzonej ukończył Uniwersytet Jana Kazimierza, w latach międzywojennych był prokuratorem w Kielcach, Stryju, Samborze i Lwowie. Po wybuchu II wojny został przez bolszewików aresztowany wraz z b. starostą stryjskim Harmatą (wkrótce zamordowanym), ale zbiegiem okoliczności zwolniony. Pod fałszywym nazwiskiem uciekł do Krakowa, brał tu udział w konspiracji. W latach powojennych był adwokatem. O innych ciekawych wydarzeniach w jego życiu pisaliśmy już w CL 1/96 (*Notatki*).

Następne pokolenie Wallischów rozproszyło się po świecie. Ostatnia tego nazwiska, córka Henryka, Elżbieta zam. Lievoux (anglistka po UJ), założyła rodzinę we Francji, a z polskości pozostało tylko imię syna: Stanislas. W czasie prezydenckiej wizyty Lecha Wałęsy tłumaczyła jego rozmowę z prezydentem F. Mitterandem. Siostra Henryka Wallischa, Maria Falkiewiczowa, wraz z synami została przez bolszewików wywieziona do Kazachstanu, a po wydostaniu się stamtąd (z armią Andersa) mieszkała w Anglii i USA. Jej syn, Andrzej Falkiewicz, jest amerykańskim dyplomata, pracował na placówkach w Pradze i Moskwie.

Austria, Włochy, Węgry, Polska, Francja, USA – taki był wielopokoleniowy pochod jednej rodziny. (Red.)

<sup>1</sup> W Krakowie jest ulica M. Lelewela-Borelowskiego (boczna Kościuszki).

<sup>2</sup> K. Dunin-Wąsowicz, *Marcin Borelowski-Lelewel, blacharz-pułkownik powstania 1863 r.* Warszawa 1964. A. Barowicz, *Marcin „Lelewel” Borelowski, rękodzielnik pułkownik.* Rzeszów 1913.

## PROFESOR ANDRZEJ ŻAKI

W tym roku obchodzi swoje 75-lecie znakomity polski archeolog, zamieszkały od ćwierćwiecza w Szwajcarii, profesor Andrzej Żaki. Ma na swoim koncie ogromny dorobek, nieprawdopodobnie różnorodny tematycznie i geograficznie. Jego zainteresowania i odkrycia dotyczą Krakowa z Wawelem i Przemyśla, Andów oraz Australii i Oceanii, a także – Świrza.

W Świrzu się urodził w 1923 roku. Szkołę średnią ukończył w niedalekich, podlwowskich Przemyślanach, jednak okres studiów w zakresie historii i archeologii przypadł mu już po opuszczeniu rodzinnej ziemi, w Krakowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tu też się doktoryzował i tu przez następane ćwierć wieku pracował. Najważniejsze w tym okresie były wykopaliska na Wawelu – odnalazł m.in. przedromańską budowlę na dziedzińcu arkadowym,



Charakterystycznym znamieniem P. właściwego jest malownicze pasmo Miodoborów (zob.), przecinające północną jego część ukośnie – z pln.zach. na pld.wsch.

Pod względem gospodarczym P. to przede wszystkim kraj rolniczy – było jednym z głównych spichrzów zbożowych Polski. Podstawowym bogactwem tego regionu są czarnoziemy na podłożu lessowym. Najważniejsze uprawy to pszenica i jęczmień, kukurydza, gryka (hreczka), buraki cukrowe, ale także żyto, owies, proso, mak, tytoń, len, konopie. Bardzo rozwinięte było sadownictwo: jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie oraz – zwłaszcza w części południowej – morele i brzoskwinie. W latach międzywojennych rozwijano winnice. Ważnym czynnikiem było pszczelarstwo, otwarzano ponadto hodowlę ryb, intensywną już w czasach staropolskich (20 000 ha stawów), potem podupadłą.

Natomiast P. właściwe jest ubogie w lasy. Niezbyt bogate były również kopaliny. Z kamieni: piaskowce i wapień (a także alabaster k. Żurawna), ponadto: gliny, piaski, żwiry. W związku z tym przemysł był głównie rolny: młyny, cukrownie (Tarnopol), browary, przemysł bekoniarski i tytoniowy. Mimo trudnych warunków terenowych (jary), sieć kolejowa na P. nie była gorzej rozwinięta niż w Polsce centralnej. Główne linie to Lwów–Tarnopol i dalej w kierunku Ukrainy, oraz Lwów–Stanisławów i dalej w kier. Rumunii.

Pod względem demograficznym w woj. tarnopolskim (1938 r.) przeważała ludność wiejska – pow. 70%. Pod względem narodowościowym: językiem polskim posługiwało się 49%, ruskim 45%, żydowskim 5%, innymi 1%.

Liczne miasta Podola (z Opolem) ułożyły się wzdłuż biegu rzek. Największe z nich to: Tarnopol (zob. CL 1/98), Czortków, Brody (CL 1/97), Złoczów (CL 4/96), Brzeżany i Buczac (CL 2/95). Inne ważniejsze (powiatowe): Borszczów, Kamionka Strumiłowa (4/96), Kopyczyńce, Podhajce (1/96), Przemyślany, Radziechów (3/96), Skalał, Trembowa, Zaleszczyki, Zbaraż, Zborów, Żydaczów, a także Halicz, Monasterzyska, Rohatyn i jeszcze kilkanaście innych.

**Historia.** P. miało bogatą przeszłość prehistoryczną. Dowodem tego są liczne znaleziska (groby, naczynia), od paleolitu poczynając. Czasy rzymskie pozostawiły swoje ślady w postaci tzw. Wału Trajana (k. Okopów św. Trójcy, II–IV w. po Chr.), a także grobów, wyrobów i monet. Najważniejszym znaleziskiem wczesnohistorycznym jest tzw. Światowid ze Zbrucza (patrz CL 3/96), datowany na wiek IX, wykonany z wapienia z okolic Husiatyna, a wykazujący podobieństwo do obiektów kultowych Słowiańszczyzny zachodniej.



oraz przewidział istnienie kościoła romańskiego w rejonie baszty Sandomierskiej – potwierdzone niedawnym odkryciem jej murów (z XI–XII wieku). Prowadził też badania nad Krakowem przedlokacyjnym, a równolegle odnalazł na górze zamkowej w Przemyślu przedromańskie *palatium* z rotundą, udowadniając naukowo ich polski rodowód – z czasów Bolesława Chrobrego, który na lat kilkanaście (1018–30) odzyskał Grody Czerwieńskie, zaanektowane wcześniej (981) przez księcia kijowskiego Włodzimierza, a potem znowu na trzy stulecia zagarnięte. Odkryte budowle nie mają żadnego związku z prawosławnym wschodem.

Prof. Żaki zainicjował i przeprowadził po raz pierwszy planowe badania w różnych punktach Karpat, dokonując szeregu ważnych odkryć w kwestii osadnictwa: całe łańcuchy osad, cmentarzy i grodzisk z epoki żelaza, celtyckich i wczesnośredniowiecznych. Te właśnie prace legły u podstaw pierwszej egzotycznej przygody naukowej profesora – w peruwiańskich Andach. Doszło do tego, gdy państwo Żaki opuścili Polskę w 1972 r. (ze względów rodzinnych) i osiedlili się w Szwajcarii. Stamtąd przedsięwzięł Profesor osiem wypraw do Peru, odkrywając setki nieznanych dotąd osiedli przedkolumbijskich na wysokich szczytach górskich (3000–4000 m n.p.m.), odnajdując tam rzeźby kamienne, które pozwoliły mu nawet wyróżnić oryginalną *kulturę Pelon*. A kiedy stan zdrowia nie pozwolił na wspinaczki wysokogórskie, zajął się nasz niezwykle archeolog Australią i Oceanią, penetrując pod względem archeologicznym niezliczone wyspy i archipelagi.

Prof. Żaki wydał około 350 prac drukowanych, w tym kilka książek, a obecnie przygotowuje *Zarys pradziejów Australii i Oceanii*. Trzeba jeszcze wspomnieć, że zainicjował wydawnictwo *Acta Archaeologica Carpathica* (wyszło już kilkadziesiąt tomów) oraz spowodował powołanie Komisji Archeologicznej PAN w Krakowie – był kilka kadencji jej przewodniczącym. Uzyskał profesurę na uniwersytecie w Limie, a następnie na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie. Z jego inicjatywy powstały tam polskie czasopisma naukowe *Symposiones* oraz organ Towarzystwa Przyjaciół PUNO (które stworzył) *Universitas*.

I jeszcze wspomniany na początku Świrz – ale na ten temat proszę czytać w niniejszym numerze: *Ze Szwajcarii o Świrzu* (w dziale *Kultura–Nauka*).

Profesorowi składamy gorące życzenia zdrowia i wielu kolejnych przygód archeologicznych.

Redakcja Cracovia–Leopolis

# Z TAMTEJ STRONY

## RATUJEMY CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI

### Sprawozdanie z prac porządkowo-zabezpieczających i remontowych z roku 1997

Kontynuowano prace rozpoczęte w roku 1996 (opisane w CL 2/97). W r. 1997 wykonano następujące roboty:

#### I. Ekipa ks. A. Baczyńskiego:

a) Oczyszczono i uporządkowano pola lub części pól (w 2 etapach):

- **pole 49** z 61 obiektami (grobami, nagrobkami, grobowcami),
- **pole 50** z 84 obiektami,
- **pole 52** z 24 obiektami,
- **pole 53** z 20 obiektami,
- **pole 69** z 24 obiektami,
- **pole 71** z 32 + 124 obiektami,
- **pole 72** z 145 + 27 obiektami,
- **pole 73** z 11 obiektami,
- **pole 74** z 9 + 7 obiektami.

Razem 727 obiektów.

b) Na polu 56 objęto robotami zabezpieczającymi (zakładanie płyt itp.) 70 obiektów.



Grobowiec na polu 2 – tak go zastaliśmy

## II. Inne ekipy:

1. **Ekipa pp. W. Popławskiego i T. Peszka:**
  - a) **Kaplica Bilińskich** na polu 71 - remont,
  - b) **Kaplica Chotowiejskich (PAX)** na polu 71 – remont,
  - c) **Nagrobek Władysława Bełzy** na polu 1 – remont,
  - d) **Nagrobek rodziny Kucharów** na polu 1 – remont.
2. **Ekipa p. W. Spirzewskiego:**
  - a) **Grobowiec dra T. Przesmyckiego** na polu 1 – remont (zestawienie rozpadających się elementów),
  - b) **Grobowiec rodziny bar. Dormusa** na polu 2 – remont (jw.),
  - c) **Grobowiec rodziny Hoffmanów** na polu 2 – remont,
  - d) **Grobowiec** na polu 2 – remont,
  - e) **Figury i krzyże** wyrwione (5 szt.) – ustalenie i umocowanie na obiektach.
3. **P. O. Kuryło: Grobowiec** na polu 59 (bez tablic) – remont.

Wszystkie dokumenty, związane z ww. pracami oraz fotografie obiektów znajdują się w posiadaniu Zarządu Oddziału TMLiKPW w Krakowie. Zakres prac na br. podamy w najbliższym numerze CL.

Równocześnie informujemy, że podobne prace na Cmentarzu Łyczakowskim (jednak w mniejszym zakresie) sponsorują oddziały TMLiKPW w Gdańsku, Katowicach, Warszawie i Wrocławiu.

Andrzej Chlipalski  
Jerzy Żuk



Ten sam grobowiec po remoncie

P. zamieszkałe we wczesnym średniowieczu przez zachodniosłowiańskie plemię Lędzian było częścią Ziemi Czerwieńskiej (świadczy o tym m.in. Czerwonogród) i jako takie wchodziło w skład państwa pierwszych Piastów. W r. 981 miał miejsce – jak wiadomo – najazd ks. Włodzimierza Kijowskiego, czego efektem było tam ponad 3,5-wiekowe panowanie Rusi i kolonizacja przez żywioł ruski, uchodzący ku zachodowi przed Tatarami, wyniszczającymi Ruś Kijowską. Dwukrotnie w tym czasie były podejmowane próby przywrócenia Ziemi Czerwieńskiej dla Polski: w r. 1018 przez Bolesława Chrobrego (w 1031 znów utraconą) oraz od r. 1199 przez Leszka Białego. Odzyskał je jednak dopiero Kazimierz Wielki w 1340 r., kładąc tamę zagrożeniu mongolskiemu dla Polski i Europy. P. zabudowało się zamkami i fortecami, o które przez kilka wieków rozbiły się najazdy tatarskie, tureckie i kozackie. Cierpiała jednak ludność tego obszaru, narażona nieustannie na niszczenie swych siedzib, mordy i uprowadzenia.

Pierwszy rozbiór (1772 r.) oderwał P. (po Zbruczu) od Rzeczypospolitej, rozpoczynając 146-letni zabór austriacki, pod nazwą Galicji i Lodomerii. Z tego jednak ostatnie pół wieku przypało na tzw. erę autonomiczną, kiedy została przywrócona administracja polska. I wojna światowa to najpierw wojna polsko-ukraińska 1918–19 r., potem najazd bolszewicki, zakończone zwycięstwem Polski i ustanowieniem granicy polsko-sowieckiej na Zbruczu. Wprowadzono wtedy nowy podział administracyjny, który na terenie P. założył województwo tarnopolskie.

II wojna światowa doprowadziła do całkowitego zniszczenia życia i rozwoju polskiego P. Pierwsza okupacja sowiecka (1939–41) zaznaczyła się deportacjami rodzin polskich w głąb ZSRR, a okres okupacji niemieckiej (1941–44) bezprzykładną w Europie nowożytnej rzezią ludności polskiej przez nacjonalistów ukraińskich. Układy jałtańskie ponownie oderwały P. od Polski, włączając je do republiki ukraińskiej w ramach ZSRR, przeistoczonej później w państwo Ukrainy. Równocześnie masy ludności polskiej zostały wysiedlone na terytorium ówczesnej PRL, pozostawiając na P. cały dobytek. W szerszym wymiarze naród polski utracił tam dorobek materialny i duchowy, budowany od wielu pokoleń.

Z P. pochodzi wielka liczba wybitnych Polaków: dwóch polskich królów (Sobieski i Wiśniowiecki), hetmani i generałowie, ludzie kultury i nauki, politycy i działacze.

**Zabytki.** Sześć wieków rozwoju cywilizacji i kultury polskiej pozostawiło na P. wielkie ilości zabytków architektury i sztuki. Charakterystycz-

## TRZECI MAJA W STANISŁAWOWIE

Na zaproszenie pani prezes Federacji Organizacji Polskich Emilii Chmielowej Krakowski Oddział „Wspólnoty Polskiej” sfinansował nasz wyjazd dla uczczenia Święta Trzeciego Maja. Dyrektor Domu Polonii pani dr Krystyna Gąsowska przekazała określoną kwotę dolarów, otrzymaną od Kongresu Polonii Amerykańskiej z Los Angeles dla lwowskich szkół, przedszkoli oraz Towarzystwa Kultury Polskiej we Lwowie i Stanisławowie.

Lwów – miasto opisywane, wyśpiewywane – budzi w sercu każdego Polaka wiele uczuć i refleksji, a co dopiero gdy wjeżdża się w jego czcigodne ulice, tchnące polskim duchem minionego bohaterskiego czasu. Przyjęła nas jak zawsze otwartym sercem Pierwsza Dama Lwowa, pani Janina Zamojska. Staropolska gościnność i serdeczność. Wymiana wzruszeń, wrażeń, informacji, i wspaniałe *polskie* pierogi oraz ciasto z konfiturą.

Następnie przejął nas typowy *lwowski batiar*, pan Zbigniew Jarmiłko, wiceprezes TKPZL, prowadząc do swego mieszkania, gdzie zajęła się nami serdecznie jego małżonka, pani Krystyna.

Drugi dzień to tradycyjne odwiedziny Katedry, Łyczakowskiego Cmentarza – a na nim grobu mojego śp. dziadka Kowalskiego i miejsca, gdzie zginął Jurek Bitschan, potem Cmentarza Orłąt. Wreszcie spacer po centrum miasta i – rozebrana po pożarze kamienica vis-a-vis gmachu Szprechera. Wieczorem spotkanie z prezesem Warszawskiego Oddziału TMLiKPW, ks. Januszem Popławskim (przyjechał, by wygłosić homilię w Katedrze z okazji 3 Maja). Pani Janina zaprasza nas do Polskiego Teatru na sztukę Mrożka *Polowanie* – w reżyserii i z udziałem p. Zbigniewa Chrzanowskiego. Sala po brzegi wypełniona.

Trzeci maja! Wyjeżdżamy bardzo wcześnie mikrobusem z bielsko-białą rejestracją, który prowadzi proboszcz parafii stanisławowskiej, ks. Kazimierz Halimurka. Towarzyszy nam konsul ze Lwowa, p. W. Dębicki. Jedziemy z członkami kapeli „Wesoły Lwów”, aby wspólnie dać koncert z okazji Święta Konstytucji. Lwowskie bruki żegnają nas przedwojennymi kocimi łbami, które też powodują, że tramwaje przesuwały się, nieomal wzdychając po mocno wystużonych szynach. Droga w zasadzie

dobra, chociaż od granic województwa stanisławowskiego o wiele lepsza. Z zachwytem patrzymy na malownicze okolice, zagrody tonące w kwitnących sadach, z rzadka kościoły i budujące się cerkwie.

Stanisławów – *obdarzony* nową nazwą. W Domu Polskim wita nas przewodnicząca miejscowego Towarzystwa Kultury Polskiej. Uroczystość rozpoczyna msza św. w kościele pw. Chrystusa Króla. Świątynia pełna wiernych. Kolejne wzruszenie: a więc trwamy! Ewangelia i *Ojciec nasz* w dwu językach. Jednak po nabożeństwie brakuje nam *Boże, coś Polskę*. Po zakończeniu świętej ofiary – akademia. Wsłuchujemy się w doskonale napisany okolicznościowy referat, naświetlający historię konstytucji. Następnie montaż literacki, przedstawiony przez dzieci z polskiej szkoły podstawowej – od pierwszej do czwartej klasy. Brzmia głębokie polskie słowa, wymawiane z przejęciem i zrozumieniem, najczystsza polszczyzną. Burza oklasków w widowiskowej sali Polskiego Domu, po brzegi wypełnionej – może dwieście, może i więcej osób. Cztery pary tańczą poloneza. Brak polskich strojów. Krótkie wystąpienie pana Konsula nawiązuje do uroczystości. Wreszcie występ zespołu „Wesoły Lwów”. Po kilku piosenkach, w tym oczywiście *W dzień deszczowy i ponury...* przychodzi kolej na naszą autorską poezję. Czytamy kilkanaście utworów, także te patriotyczne. Absolutna cisza. Ludzie mają łzy w oczach. To największa nagroda, że mogliśmy im coś dać z Ojczyzny. Nagradzają nas burzliwymi oklaskami. Program kontynuuje dalej „Wesoły Lwów”. Świetne wykonanie tak drogiej zawsze piosenek, przywołujących młodość. I ten *lwowski batak...* Kolejne wzruszenie.

Po występie wspólny obiad przygotowany przez siostry z miejscowej parafii. Zwiedzamy Dom Polski – dwuosobowe pokoje (36 miejsc), każdy z łazienką, sala widowiskowa, konferencyjna, telewizyjna, biblioteka, jadalnia. Dom, podobnie jak i kościół, jeszcze nie otynkowany.

Serdecznie żegnani – wracamy do Lwowa. U państwa Jarmiłków cały dzień brzmi polskie radio (z kraju) i polskie programy TV. Czujemy się jak u siebie. Bo jak inaczej?

Na drugi dzień o świcie odjeżdżamy autobusem do Przemyśla. Serce w gardle – *ten drogi Lwów, to miasto snów...*

Magdalena Paździora  
Wiesław Krawczyński



## Wydarzenia

■ W poprzednim numerze donieśliśmy o wybraniu w marcu br. nowego Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej we Lwowie, jednak bliższe informacje o jego składzie (poza samym prezesem) otrzymaliśmy niedawno. Zarząd ukonstytuował się następująco:

**Emil Legowicz** – prezes

**Zbigniew Jarmiłko** – I wiceprezes

**Bolesław Biłowus** – II wiceprezes ds. kontaktów z Polakami na Ziemi Lwowskiej

**Krystyna Kuryluk** – sekretarz

**Romana Sosulska** – skarbnik

**Bolesław Sudomlak** – odpowiedzialny za kontakt z władzami

Sekcja edukacyjno-szkolna i pracy z młodzieżą:

**Marta Markunina** – przewodnicząca

**Łucja Kowalska**

Sekcja kulturalna:

**Zbigniew Jarmiłko** – przewodniczący

**Anna Gordijewska**

Sekcja historyczna i ochrony zabytków:

**Jan Tysson** – przewodniczący

**Ryszard Szymański** (Polskie Tow. Opieki nad Grobami Wojskowymi)

**Ryszard Vincenz**

Sekcja przedszkolna:

**Zbigniew Pakosz** – przewodniczący

**Stanisław Osiadacz**

Sekcja sportowo-turystyczna:

**Marian Tur** – przewodniczący

**Kazimierz Dąbrowski**

Sekcja charytatywna:

**Czesław Bryk** – przewodniczący

**Alicja Sarabacha**

Sekcja gospodarcza:

**Jan Kot** – przewodniczący

**Danuta Rybij, Bogdan Hałas**

Stowarzyszenie Lekarzy Polskich:

**Ewelina Hrycaj-Mańnicz**

„Gazeta Lwowska”: **Bożena Rafalska**

Radio „Lwów”: **Halina Owczarek**

Dotychczasowego prezesa ZG, inż. **Staniława Czerkasa** obdarzono godnością Prezesa Honorowego.

Zarząd Oddziału Krakowskiego TMLiKPW przesłał wszystkim gratulacje i życzenia, a nasza Redakcja do nich się dołącza.

■ Papież Jan Paweł II mianował ordynariuszem niedawno przywróconej diecezji łuckiej (patrz CL 4/96) **ks. biskupa Marcjana Trofimiaka**, dotychczasowego sufragana lwowskiego (a wcześniej proboszcza w Krzemieńcu, zasłużonego w reaktywowaniu parafii rzymskokatolickich na

na dla tego obszaru jest wielka liczba zamków obronnych i fortyfikacji miejskich, układających się pasem północ-południe, jako linia obronna. Spośród kilkudziesięciu zamków większość stanowią dawne lub świeże (z ostatniego półwiecza) ruiny – w dobrym stanie zachowało się tylko Olesko, a w stanie dewastacji Podhorce, Złoczów, Zbaraż, Żółkiew). Nie zachowały się w zasadzie fortyfikacje miejskie (pomijając nieliczne relikty, jak np. dwie bramy miejskie w Okopach św. Trójcy). Druga grupa to pałace i dwory – tych większość zniknęła z powierzchni ziemi (np. pałace w Bursztynie, Pieniakach, i niemal wszystkie dwory). Pozostało niewiele pałaców – starsze na ogół zrujnowane (Pomorzany) lub zdewastowane, zaś lepiej zachowane XIX-wieczne zamienione na koszary, szkoły, domy wypożyczkowe, itp.

Trzecią grupę stanowią obiekty zabudowy miejskiej, opartej z zasady na planie tzw. magdeburskim, obowiązującym w dawnej Polsce. We wszystkich niemal miastach zachowały się te układy urbanistyczne, jednak z zabudową głównie XIX-wieczną (rzadziej wcześniejszą). Z budowli monumentalnych dotrwał do naszych czasów rokokowy ratusz w Buczaczu. Czwartą grupę stanowią świątynie, przede wszystkim kościoły rzym.kat. od gotyckich poczynając, a także cerkwie i synagogi. Z kościołów wiele zostało zburzonych (np. fara tarnopolska), a w stanie nienaruszonym zachowało się zaledwie kilka (np. Złoczów). Większość zdewastowano, gdy służyły jako – głównie – magazyny kolchozowe. Szereg kościołów zostało przebudowanych na fabryki (np. Tarnopol, Przemyślany), obiekty sportowe (Brzeżany). Jeszcze inne, szczególnie cenne, opuszczone, zbliżają się do całkowitej ruiny (kościół zamkowy w Brzeżanach, Podhajce, Zbaraż). Natomiast nie ucierpiały w zasadzie cerkwie, zaś z synagóg przetrwało kilka w stanie ruiny.

**Czasy obecne.** Po wysiedleniu ludności polskiej, na P. pozostały jedynie niewielkie grupy Polaków w poszczególnych miejscowościach (od kilkudziesięciu do kilkuset osób, wiele rodzin mieszanych), z czego liczniejsze w Tarnopolu, Czortkowie, Złoczowie, Buczaczu, Skaliacie. Od przełomu lat 1980/90. datuje się odrodzenie świadomości odrębności narodowej oraz (bardziej) religijnej. Utworzono organizację polskie w Chodorowie, Tarnopolu, Starym Skaliacie, Polupanówce, Czortkowie, Husiatynie i Złoczowie. W ramach archidiecezji lwowskiej na P. funkcjonują 24 parafie, należące głównie do dekanatu tarnopolskiego i czortkowskiego, a częściowo do lwowskiego i stanisławowskiego. Parafie te dysponują ok. 90 kościołami i kaplicami

Wołyniu). W ciągu ostatnich 2 lat administratorem apostolskim diecezji w Łucku był osobiście metropolita lwowski, ks. abp Marian Jaworski.

Nowy ordynariusz ma 51 lat, a jest z kolei 52. biskupem łuckim. Przypomnijmy, że w diecezji tej jest obecnie ok. 40 parafii. Tamtejsi księża wydają bardzo ciekawe pismo diecezjalne *Wołanie z Wołynia*, które tu w Krakowie regularnie otrzymujemy i chętnie czytamy.

■ W czasie tegorocznych Zielonych Świąt przebywał we Lwowie **kardynał Angelo Sodano**, watykański sekretarz stanu. W Katedrze Łacińskiej odprawił mszę św. koncelebrowaną, wraz z nuncjuszem abpem Antonio Franco, abpem Marianem Jaworskim, bpem Marcejanem Trofimiakiem i biskupem grecko-katolickim Lubomirem Huzarem. Przyjazd kard. Sodano do Lwowa i Kijowa ma, być może, związek z ewentualną podróżą Papieża do Lwowa i na Ukrainę.

■ **Ks. arcybiskup Marian Jaworski** udzielił w kwietniu święceń *akolitu* i *lektoratu* piętnastu alumnom z Archidiecezji Lwowskiej, przygotowujących się do kapłaństwa w Lublinie (IV i III rok studiów).

■ Z końcem maja została we Lwowie uroczystie poświęcona **kaplica Matki Boskiej Łyczakowskiej** (w górnej części ul. Łyczakowskiej), odbudowana – po zniszczeniu przez Sowietów – głównie za pieniądze Polaków. Ze strony Kościoła łacińskiego poświęcenia dokonali ks. Andrzej Baczyński i o. Władysław Lizun. Nabożeństwa rzymskokatolickie będą się tam odbywały trzynastego każdego miesiąca.

Elementy ukraińsko-nacjonalistyczne wykorzystały uroczystość jako manifestację polityczną, pojawiły się flagi UNA-UNSO.

■ Pod patronatem prezydenta Krakowa i *mera* Lwowa odbyły się w połowie maja **Dni Krakowa we Lwowie**. Imprezy, przygotowane przez szereg krakowskich instytucji, trwały cały tydzień. Otwarto kilka wystaw, prezentowano filmy A. Wajdy, odbyła się sesja naukowa (*Lwów – miasto – społeczeństwo – kultura*) oraz kilka występów artystycznych: Leszka Długosza, Niny Repetowskiej, koncert Centrum Młodzieży i zespołu Concerto Lamelli, spektakl kabaretu Loch Camelot, pokaz gimnastyczny młodzieży krakowskiego „Sokoła” i kilka innych. Redakcję CL reprezentował we Lwowie p. Janusz Paluch.

W tym numerze i następnych będziemy publikować omówienia poszczególnych punktów programu Dni oraz refleksje wykonawców krakowskich – uczestników festiwalu.

# POLACY POLAKOM

## WSPÓLNOTA POLSKA '97

Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” opublikował – jak corocznie – sprawozdanie ze swej działalności za rok ubiegły – 1997. Była ona jak zwykle wielostronna: oświata, nauka, kultura, gospodarka, opieka zdrowotna, turystyka, sport, współpraca z organizacjami polskimi i polonijnymi w świecie, krzewienie wiedzy o Polsce.

Nie ma celu przedstawianie tu wszystkich dokonań Wspólnoty – są ich setki. Można o nich przeczytać w Biuletynie Stowarzyszenia 3/1998. Nas interesują najbardziej te, które dotyczą Wschodu, a w szczególności Małopolski Wschodniej. O wielu imprezach piszemy w naszym kwartalniku na bieżąco, gdy odbywają się w Krakowie (lub mają z nim związek, a nie jest to przypadkiem, bo oddział krakowski W.P. szczególnie nastawia się na najbliższy sobie – geograficznie, historycznie i komunikacyjnie – rejon wschodniomałopolski).

Wynotujmy natomiast ciekawsze imprezy w skali ogólnopolskiej:

● Oddział warszawski W.P. udziela pomocy harcerstwu, m.in. we Lwowie. Polacy żyjący do niedawna w ZSRR nie mają żadnych doświadczeń w pracy wychowawczej, prowadzonej w duchu ideałów skautowskich, a osoby starsze – pamiętające harcerstwo przedwojenne – już nie angażują się w pracę z młodzieżą. Prowadzona jest więc praca śródroczna instruktorów z RP i organizacja obozów letnich, rajdów i biwaków, wydawnictwo biuletynu, uruchamianie nowych drużyn itd. Używany jest wyłącznie język polski.

● Kursy metodyczne dla nauczycieli języka polskiego były organizowane w wielu miastach – siedzibach oddziałów W.P.

● W Koszalinie odbył się IX Festiwal Chóarów Polonijnych, w Mrągowie III Festiwal Kultury Kresowej, w Białymstoku IV Przegląd Zespołów Kolędniczych.

● Odbywały się różnego rodzaju *warsztaty* – teatralne, taneczne, artystyczne, folklorystyczne – dla dzieci i dla instruktorów.

● Prace konserwatorskie – pisaliśmy o nich w poprzednim numerze CL, omawiając Ośrodek ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturowego poza Granicami Kraju. Warto dodać, że trwają przygotowania do przywrócenia świetności wspianego zespołu poddominikańskiego w Kamieńcu Podolskim (niedawno *nieznani sprawcy* spalili tam dach kościoła).

● Pomoc socjalna starcom, rencistom, sierotom i bezrobotnym.

● Pomoc medyczna niezwykle różnorodna i szeroko zakrojona, oraz rehabilitacyjna dla dzieci i młodzieży (turnusy), zaopatrywanie w leki, wózki inwalidzkie.

● Specjalistyczne obozy oraz imprezy sportowe, w tym Polonijne Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej.

● Pomoc dla polskich rolników (nasiona i sadzonki, maszyny rolnicze). Zorganizowano I Zjazd Polskich Farmerów na Ukrainie.

● Wydawnictwa i materiały programowe, pomoc w wydawaniu czasopism i materiałów pokonferencyjnych, wyposażenie szkół.

To tylko mała część bogatej działalności „Wspólnoty Polskiej”. Jest ona ogromna, ale potrzeba jeszcze większe.

Kazimierz Selda

## Do zapamiętania

■ Wyższa Szkoła Administracji i Zarządzania w Przemyślu – za akceptacją władz tego miasta – przyjmie w najbliższym roku akademickim **15 studentów Polaków** z państwa ukraińskiego. Studenci będą zwolnieni z opłat, otrzymają ponadto bezpłatnie mieszkanie w domu akademickim i stołówkę.

■ Tradycyjnie już – jesienią 1997 r. – odbył się w Krakowie **kurs dla bibliotekarzy** ze środowisk polskich z państwa ukraińskiego. Organizatorami kursu były krakowskie instytucje: „Wspólnota Polska”, Wojewódzka Biblioteka Publiczna oraz Śródmiejski Ośrodek Kultury. Program przygotowany przez zespół bibliotekarzy pod kierunkiem pani Marii Pieniążek obejmował podstawowe zasady prowadzenia biblioteki oraz promocji i upowszechniania książki. Uczestnicy kursu mieli okazję odwiedzić biblioteki krakowskie oraz poznać życie kulturalne Krakowa.

■ W marcu br. udało się do Lwowa **Towarzystwo Teatralne „Pod Górkę”** na warsz-

(niektóre w domach prywatnych). W szeregu miejscowości od wielu lat nie dochodzi do zwrotu kościołów, a nawet umożliwienia zbudowania zastępczych kaplic (np. Tarnopol, Brody).

(A.C.)

### WORONIAKI (pasmo)

Górzyste pasmo, jest środkowym fragmentem *grzbietu gologórsko-krzemienieckiego* i stanowi wraz z Gologórami (zob.) płn.zach. krańców wyżyny podolskiej (zob. Podole) na styku z Pobużem. Podobnie jak Gologóry, W. spadają stromymi stokami ku płn. zach., a po stronie płd.wsch. przechodzą łagodnie w Podole. Od Gologór oddziela je kotlina rzeki Złoczówki (z miastem Złoczowem i główną linią komunikacyjną Lwów–Tarnopol). Długość pasma W. wynosi ok. 60 km, potem – w obrębie Wołynia – przechodzi w Góry Krzemienieckie. Wysokość W. wynosi przeciętnie 400 m n.p.m. (najwyższy szczyt 442 m). Wzgórza są zalesione, gdzieniegdzie skaliste. Podobnie jak Gologóry, W. stanowią europejski dział wód: w kierunku płn.zach. wypływa z nich Bug, w kierunku wsch. Ikwa (przez Prypeć i Dniepr do M. Czarnego), a na płd. Strypa i Seret (dopływ Dniestru).

Na terenie W. leży szereg ważnych miejscowości, ważnych dla historii i kultury Polski: Podkamień (do II wojny sanktuarium MB Podkamieńskiej), Huta Pieniacka (miejsce wymordowania ponad 1000 Polaków-mieszkańców wsi przez Ukraińców z *SS-Galizien* w 1944 r.), Podhorce i Olesko (słynne zamki). W. leżą na terenie woj. tarnopolskiego.

W rejonie Podkamienia i Załoziec oddziela się pod kątem prostym od W. pasmo Miodoborów (zob.), biegnące stąd w kierunku płd.wsch. (A.C.)

Naszym młodemu Przyjaciółom:

**BOŻENIE z Żuków PRZĘCZEK  
URSZULI z Ligęzów HANC  
i PIOTROWI ZBOROWSKIEMU  
oraz ich Współmałżonkom**

z okazji zawarcia związków małżeńskich składamy serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia wszelkiej pomyślności. Sto lat!

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.Wsch. oraz Redakcja „Cracovia–Leopolis”

taty teatralne pod patronatem „Wspólnoty Polskiej”. Z aktorami Teatru Polskiego dzielono się nawzajem doświadczeniami z realizacji podobnych repertuarów: piosenki lwowskie, utwory Hemara. Goście wystawili spektakl „Ten drogi Lwów”, który wcześniej już dwukrotnie prezentowali w Krakowie.

■ Od 8 lat działa w Londynie **Komitet Pomocy Polakom na Wschodzie**, który finansuje najróżniejsze przedsięwzięcia na rzecz organizacji polskich w państwach za jałtańską granicą (zrezygnowano z pomocy osobom indywidualnym ze względu na utrudnioną kontrolę i powstawanie konfliktów). Finansowano m.in. na terenie państwa białoruskiego półkolonie, w których łączono zabawę, naukę języka polskiego i całodzienne wyżywienie. Udzielana jest pomoc parafiom, chórom itd.

W planie jest m.in. sfinansowanie odnowienia wieży-baszy przy kościele w Drohobyczu (odzyskanej przez parafię po niemałych trudach), z przeznaczeniem na Polski Klub Młodzieżowy.

■ Doroczna **Szkoła Letnia**, organizowana w Krakowie przez Stow. „Wspólnota Polska” dla studentów polskich ze Wschodu odbyła się w lipcu (6–19). Uczestnicy przybyli m.in. z Drohobycza, Lwowa, Mościsk, Sambora i Stanisławowa. Tematem kursu były język, historia i Polska współczesna. Wykładowcami byli znani nam historycy (także nasi Autorzy): dyr. J. Petrus, dr A. Czabanowska-Wróbel, dr. J. Wróbel, mgr. W. Drelicharz, oraz polniści.

## APEL

**Kościół św. Zofii w Podwoleczyskach** został zburzony w latach 60. Obecnie tamtejsi Polacy otrzymali teren pod budowę nowego kościoła (za cmentarzem). Jednak bez pomocy finansowej niemożliwe jest jakiegokolwiek działania. Działkę należy natychmiast zagospodarować, choćby fragmentarycznie, bo w innym wypadku grozi utrata terenu. Dlatego mieszkańcy Podwoleczysk-Polacy błagają o datki na konto:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Płd.Wsch., 00-322 Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64

**PKO VI O/Warszawa, nr 10201068-297064-270-1-111, Na kościół w Podwoleczyskach**

# W Krakowie i dalej

## PO RAZ KOLEJNY...

Federacja Organizacji Kresowych (której prezesuje pan Stanisław Mitraszewski) skierowała do naczelnych władz RP memoriał, w którym *po raz kolejny pragnie wyrazić swe zatroskanie sytuacją naszych Rodaków, którzy w rezultacie układów Ribbentrop-Mołotow i w wyniku agresji 17 września 1939 roku oraz późniejszych wymuszonych ustaleń, pozostali poza granicami Rzeczypospolitej. Na tym obszarze zamieszkuje dziś paromilionowa rzesza Polaków, której prawa są naruszane, możliwości rozwoju kulturalnego i społecznego krępowane.*

Treść memoriału ujęto w pięciu rozdziałach:

**Prawa obywatelskie.** Mowa m.in. o obywatelstwie polskim i niedopuszczalności traktowania Polaków żyjących na ziemiach wschodnich II RP (a także Zaolziu) jako cudzoziemców.

**Sprawy oświaty.** Sytuacja ma się najlepiej (co nie znaczy, że dobrze) w państwie litewskim, a tragicznie w białoruskim i ukraińskim. O ile nie nastąpi radykalny przełom, groźba wynarodowienia się Polaków w tych państwach jest coraz bardziej realna (widzimy to naocznie – przyp. red.).

**Mienie polskie.** Np. Ukraina przejęła po ZSRR ogromny polski majątek, ale licząca tam wiele tysięcy osób polska społeczność dysponuje zaledwie kilkoma pokojami (przykładem lokal TKPZL we Lwowie, a większość oddziałów nie ma ich wcale. Porównajmy to z pałacem oddanym Ukraińcom na Kanoniczej w Krakowie – przyp. red.).

**Dziedzictwo kultury.** Zwraca się uwagę, że zabytki urbanistyki i architektury, dzieła sztuki, militaria, zbiory biblioteczne i archiwalne pozostałe na Wschodzie (od Wileńszczyzny po Pokucie – przyp. red.) oraz wywiezione dalej, np. do Moskwy czy Kijowa, stanowią 30–50 procent tego, co posiadamy w obecnych granicach RP. Polska spuścizna kulturalna na Wschodzie niszczy się z braku konserwacji, a nawet jest świadomie zacierana lub unicestwiana.

**Polityka Wschodnia.** Dla *poprawy stosunków dobrosąsiedzkich* dobro Polaków na Wschodzie pozostawiono na pastwę szowinistów, przymyka się oczy na obraźliwą antypolską propagandę. Te sprawy powinny być decydującym kryterium w udzielaniu tym krajom poparcia przez Polskę na forum międzynarodowym.

Nic dodać, nic ująć. O sprawach tych piszemy często w naszym kwartalniku. Wielokrotnie zwracamy uwagę, że sprawa mniejszości narodowych to nie tylko kwestia sentymentów. To jest także kwestia godności własnej i wymiernego interesu. Rozumieją to doskonale Rosjanie, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi. Polityk, który to lekceważy jest politykiem niekompetentnym.

(Red.)

## SPRAWIEDLIWOŚĆ I SATYSFAKCJA

Sejm i Senat potwierdziły prawo do odszkodowań Polakom, którzy byli represjonowani przez sowieckie organa ścigania również *po tamtej stronie linii Curzona*, czyli na obszarze Ziemi Wschodnich, zabranych Polsce w wyniku Jałty. Wedle prawa, ustanowionego przez PRL, nie mieli prawa do odszkodowania np. lwowscy AK-owcy, którzy byli przez władze sowieckie od 1944 r. wyłapywani i zsyłani do łagrów. Szczegółne to „prawo” znalazło nieoczekiwanie obrońców w III RP – pisaliśmy o tej hanieb-

nej sprawie już dwukrotnie: w CL 2/95 i 3/96. Szczęśliwie doczekaliśmy się sprawiedliwości i satysfakcji, ale szkoda że tak późno. Przewiduje się, że o odszkodowania zgłosi się ok. 2 tysięcy osób. A ile tysięcy zmarło przez te 53 lata z bolesnym poczuciem dyskryminacji i zaszczucia?

Andrzej Chlipalski

## Z WIZYTĄ U STANISŁAWOWSKIEJ PANI

W Gdańsku, na Żabim Kruku, w kościele św. Apostołów Piotra i Pawła, króluje Matka Boża Łaskawa z kościoła ormiańskiego w Stanisławowie (pisaliśmy już o tym w CL 3 i 4/97). Pieczę nad Sanktuarium sprawuje Kustosz, ks. kanonik Cezary Annusewicz, który z ogromną energią, po gospodarsku kieruje odbudową i konserwacją tego wielkiego – czwartego co wielkości kościoła w Gdańsku.

Miniony, milenijny rok chrztu Gdańska i zarazem 600-lecia kościoła oraz 60. rocznicy koronacji Obrazu, przyniósł szereg dokonań, wśród których na uwagę zasługuje podjęcie odtworzenia gotyckich sklepień w wymienionej świątyni (o czym świadczą masywne rusztowania w jej wnętrzu). Zaprojektowano wystrój prezbiterium z ustawieniem ołtarza ze Stanisławowa, poddane kompleksowej renowacji. Wykonano też pancerne tabernakulum. Kościół otrzy-



Matka Boska Łysiecka w Gdańsku

mał trzy dzwony: św.św. Piotra i Pawła, Matki Bożej Łaskawej i św. Marcina.

W pierwszej połowie czerwca, w rok po 60-leciu koronacji Cudownego Wizerunku, Sanktuarium gdańskie odwiedziła delegacja stanisławowian z Krakowa, bardzo serdecznie goszczona przez Gospodarza Sanktuarium. Kulminacją wizyty był udział w uroczystej procesji Bożego Ciała.

Przeżyciem religijnym i estetycznym było – z inicjatywy ks. Kanonika – zwiedzenie parafii w Straszynie. Podziwialiśmy tam zarówno nowo zbudowany kościół pw. św. Jacka Odrowąża – wybitny obiekt nowoczesnej sztuki sakralnej, jak i Dom Rekolekcyjny Archidiecezji Gdańskiej, którego

gościnne progi udostępnił nam ks. proboszcz Ryszard Bugajski. Obie wymienione budowle, zbudowane w podobnym duchu, zaprojektował znany architekt gdański, prof. Szczepan Baum. Miłym akcentem pobytu na Wybrzeżu było również zwiedzenie Sopotu i Gdyni.

Zadziwił nas ogrom dokonań kapłanów na Ziemi Gdańskiej, a jako stanisławowian szczególnie cieszy troskliwość i staranie, jakim otoczona jest Stanisławowska Matka z ormiańskiego kościoła. To napawa optymizmem. SURSUM CORDA – oto jak można najkrócej streścić wrażenia z gdańskiej pielgrzymki.

Krystyna Stafińska

## ZŁOTY JUBILEUSZ KSIĘDZA JANUSZA

Z początkiem lipca obchodzono w Warszawie Złoty Jubileusz Kapłaństwa ks. Janusza Popławskiego, Krajowego Kapłana Kresowiaków. Przy udziale licznie zebranych warszawskich kresowiaków oraz delegacji Zarządu Głównego i oddziałów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich została odprawiona Msza św. w kościele św. Marcina na warszawskiej Starówce, a po południu – w Domu Wspólnoty Polskiej przy Krakowskim Przedmieściu – spotkanie przyjaciół Księdza Janusza.

*Janusz Popławski urodził się w 1922 r. w majątku Juśkowce na Wołyniu, był synem ziemian Michała i Felicji Popławskich.*

*Na nauki wysłano Go do Lwowa: ukończył szkołę powszechną św. Marii Magdaleny i IV Gimnazjum, a domem był mu tam znakomity Zakład Abrahamowiczów na Kadeckiej Górze. Już w tych latach objawiła się zapowiedź powołania: w szkole powszechnej prezesował „Krucjacie Eucharystycznej”, w gimnazjum Sodalicji.*

*Dalsze drogi życia zawiodły Janusza Popławskiego daleko od stron rodzinnych – do salezjanów w Czerwińsku nad Wisłą. Potem było seminarium w Lublinie, a w latach powojennych studia teologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. I tu – przed 50 laty – otrzymał święcenia kapłańskie 4 lipca 1948.*



Po kilku latach pracy w krakowskim Seminarium Salezjańskim, gdzie wykładał historię literatury polskiej, przyszły lata duszpašterzowania. Najpierw daleko – w Pile, ale po kolejnych parunastu latach znowu bliżej stron rodzinnych: na nieodciętym skrawku lwowskiej archidiecezji – w Lubaczowskiem. Był więc zrazu wikarym w Oleszycach, potem przez 17 lat proboszczem w Dachnowie i Baszni. I od 1985 r. emerytura – na krótko! Od 1988–89 zawiązują się oddziały Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w całej Polsce. Ksiądz Janusz zostaje kapelanem oddziału w Warszawie, a niebawem całego Towarzystwa, wreszcie – prezesem Oddziału Warszawskiego.

To nie wszystko – jest w ciągłej podróży: odwiedza w odrodzonej Archidiecezji Lwowskiej parafię za parafią, kościół za kościołem. Znosi tam Słowo Boże, i co nie mniej ważne – p o l s k i e słowo. Za to jestešmy Mu najbardziej wdzięczni.

Oddział Krakowski TMLiKPW oraz Redakcja „Cracovia–Leopolis” wystosowały do Księdza Jubilata list z serdecznymi życzeniami.

(Red.)

## Notatki

◆ W Warszawie odbyła się I sesja procesu beatyfikacyjnego **Sługi Bożego Bernarda Łubieńskiego** (1846–1933), redemptorysty, który – po niepowodzeniach w zaborze rosyjskim – założył klasztor oo. redemptorystów w Mościskach – macierz wszystkich domów tego zakonu w Polsce. O o. Bernardzie i jego dziele, a także dniu dzisiejszym mościskich redemptorystów, pisaliśmy w CL 1/97.

◆ W tym roku mija 110. rocznica urodzin **Eugeniusza Kwiatkowskiego**, jednego z głównych działaczy państwowych II Rzeczypospolitej. Urodził się w 1888 r. w Krakowie, lecz wychował się i ukształtował w Małopolsce Wschodniej. Dzieciństwo upłynęło mu w okolicach Zbaraża. Ukończył szkołę jezuicką w Chyrowie (matura ze złotym medalem, 1907), a potem Politechnikę Lwowską. Należał we Lwowie do organizacji niepodległościowych, walczył w Legionach.

Był jednym z najwybitniejszych działaczy gospodarczych – z jasną wizją rozwoju Polski, głównym twórcą Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), którego

celem było nie tylko stworzenie nowoczesnego przemysłu w naszym kraju, lecz także uaktywnienie zaniedbanej ekonomicznie przez austriackich zaborców b. Galicji. W czasach komunistycznych żył w zapomnieniu w Krakowie, pracował naukowo. Zmarł tu w r.1974.

◆ W marcu br. zmarł w Winterthur w Szwajcarii **Zdzisław Pręgowski**, architekt, wynalazca, filantrop.

Urodził się we Lwowie w 1912 r. Ukończył tamże IX Gimnazjum im. Śniadeckich i podjął studia na Wydziale Architektury Politechniki. Po wybuchu II wojny przedostał się do Francji, tam wstąpił do Wojska Polskiego, a po krwawych walkach, wraz z dywizją przeszedł do Szwajcarii i tam został internowany. Ukończył studia w Zurychu i pozostał w Szwajcarii na zawsze. Zaprojektował tam i wybudował wiele obiektów, jednak jego pasją była wynalazczość. Wynalazł system matryc do odciskania faktur w betonie (PREWI) i szereg innych nowatorskich rozwiązań, które przyniosły mu wysoką pozycję materialną (miał kilka fabryk na całym świecie) i społeczną. Był wielkim polskim patriotą, wspomagał wiele organizacji i instytucji krajowych. Był w kontakcie z z wybitnymi postaciami, m.in. z papieżami Pawłem VI i Janem Pawłem II, z kardynałem Wyszyńskim i Lechem Wałęsą.

Miał doskonały głos. Śpiewał w lwowskim Chórze Technicznym, a także jako solista w Operze Lwowskiej. Za liczne zasługi

Gdańsk, 1981. Od lewej: ks.prymas Józef Glemp, Zdzisław Pręgowski, ks. Jerzy Popiełuszko, Lech Wałęsa





oraz dokonania zawodowe otrzymał w roku 1992 doktorat *honoris causa* Politechniki Wrocławskiej.

Zdzisław Pręgowski był synem Zenobiusza Pręgowskiego, znakomitego narciarza, jednego z pionierów turystyki zimowej w Karpatach Wschodnich, współzałożyciela Karpackiego Towarzystwa Narciarzy, a zarazem autora dwóch pomnikowych prac o narciarstwie wschodniokarpackim – wydał je niedawno jego syn:

– *Złota Księga Narciarstwa Polskiego. Karpaty Wschodnie* (wyd. „Kraj”, Warszawa 1992) oraz

– *Dzieje narciarstwa polskiego do 1914 roku* (wyd. jw. 1994).

◆ W Krakowie zmarli:

– w marcu **prof. dr Józef Tomasz Frazik**, architekt i historyk sztuki, emerytowany kierownik Zakładu Historii Architektury Powszechniej oraz wicedyrektor Instytutu Historii Architektury i Konserwacji Zabytków Politechniki Krakowskiej. Urodził się w roku 1922 w Samborze. Interesował się zabytkami swojej *małej ojczyzny*, pisywał o nich;

– w kwietniu **Władysław Krygowski**, znakomity turysta, działacz i pisarz. Jego sylwetkę zamieściliśmy niedawno – w CL 4/97, a prozę w CL 3 i 4/97;

– również w kwietniu **prof. dr inż. arch. Alfred Majewski**, wybitny konserwator zabytków architektury, który większość swego życia poświęcił Wawelowi. Urodził się w Małopolsce Wschodniej, absolwent Politechniki Lwowskiej, w początkach swej kariery zawodowej był najbliższym współpracownikiem prof. Witolda Minkiewicza. Przedmiotem jego pracy konserwatorskiej były czołowe zamki małopolskie – przed wojną w Olesku, Zbarażu i Tamopolu, zaś po wojnie – poza Wawelem – w Pieskowej Skale, Wiśniczu, Niepolomicach, Niedzicy, Czorsztynie, Baranowie Sandomierskim, Krasiczynie i Suchej Beskidzkiej. Był profesorem Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej i jego dziekanem oraz generalnym konserwatorem zabytków w Polsce (o prof. Majewskim pisaliśmy już w CL 3/96).

◆ Prestiżową nagrodę Crafoorda otrzymał **prof. Adam Dziewoński**, geolog-geofizyk pracujący na Uniwersytecie Harvarda w Cambridge, USA. Urodził się w 1936 r. we Lwowie, po II wojnie znalazł się we Wrocławiu. Studia odbywał we Wrocławiu i Warszawie, a pracę doktorską obronił na kra-

kowskiej AGH. W 1965 r. otrzymał stypendium do Ameryki i tam pozostał.

◆ W krakowskim „Dzienniku Polskim” (nr 73/98) opublikowano rozmowę, przeprowadzoną przez red. Adama Molendę z p. **Stanisławem Czerkasem**, do niedawna prezesem Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (o nowym zarządzie tego towarzystwa piszemy w tym numerze – patrz *Wydarzenia*). Mowa tam o wielu trudnych sprawach, z którymi borykają się Polacy, o stosunkach między Polakami a Ukraińcami i władzami, o sytuacji materialnej itp. ważnych problemach, których przeważnie jesteśmy świadomi (my, ale nie ogół społeczeństwa polskiego). Jest i o sprawach mniej zasadniczych, lecz zawstydzających naszą stronę, trzeba więc przytoczyć taki fragment wypowiedzi inż. Czerkasa:

Kiedyś nasze Towarzystwo otrzymywało systematycznie polskie gazety, które były tutaj dosłownie zaczytywane przez mnóstwo osób. Teraz, gdy „Polpres” się sprywatyzował, czasopisma przestały przychodzić. Czy Polska naprawdę tak zbiedniała, że nie może nam przysłać pięćdziesięciu kilogramów makulatury, bo chodzi przecież o prasę ze zwrotów? Szczęście, że we Lwowie zainstalowano telewizję kablową, dzięki czemu oglądamy polskie i polskojęzyczne programy.

To rzeczywiście wstyd. Mamy w związku z tym następujące propozycje:

1. W sprawie dzienników Zarząd Oddziału Krakowskiego zwróci się do odpowiednich redakcji lub instytucji.

2. Czytelników natomiast prosimy o zbieranie tygodników i miesięczników, które mogłyby zainteresować Polaków we Lwowie i w innych miejscowościach Małopolski Wschodniej. Ale warunek: donosić raz na kwartał, możliwie komplety (za okres kwartału), nie zniszczone (inaczej nie wypada!). Można je przynosić do lokalu TMLiKPW przy ul. Piłsudskiego 27, I p., w środy po południu. Stąd – przy okazjach – będą przekazywane do Lwowa i innych miast.

◆ **Polskie Ministerstwo Kultury i Sztuki sponsoruje pismo pt. Nasze Słowo, organ Związku Ukraińców w RP.** I oto w nrze 12/1998 tego tygodnika (wychodzącego w języku ukraińskim) ukazał się artykuł pt. *Łemkowszczyzna na rozdrożu*, w którym autor ogłasza, iż Polska po II wojnie dostała możliwość poszerzenia swojego terytorium na zachodzie o tzw. Ziemię Odzyskane, a na

wschodzie... o ziemi ukraińskiej: Łemkowszczyznę, „Zasanie” (cudzyśłów nasz), Chełmszczyznę i Podlasie, a Ukraińców Polacy się pozbyli, wyrzucając ich na terytorium republiki ukraińskiej ZSRR. I jeszcze dalsze rewelacje w tym stylu. Oczywiście ani słowa o wyrzuceniu ze wschodu do PRL wielokrotnie liczniejszej rzeszy Polaków, poprzedzonym rzezią dokonanymi przez Ukraińców na ludności polskiej, ani o tym, że we Lwowie było przed wojną zaledwie kilkanaście procent Ukraińców.

Doskonały artykuł na temat przytoczonego antypolskiego wybuchu (wcale nie odosobnionego) zamieścić „Nasz Dziennik” nr 70/1998, pióra Jerzego Webera.

Na marginesie chcielibyśmy zwrócić uwagę, że władze ukraińskie nie sponsorują – tak jak nasze MKiS organ Związku Ukraińców w Polsce – ani „Gazety Lwowskiej”, ani „Biuletynu” Federacji Organizacji Polskich (wyd. we Lwowie – patrz CL 2/96), a dotacja dla „Dziennika Kijowskiego” została ostatnio wstrzymana (pisałimy o tym w CL 2/98).

◆ W krakowskim „Sokole” odbyło się z końcem kwietnia walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Jednymyślnie wybrano dotychczasowy Zarząd z prezesem Konradem Firlejem na następną 3-letnią kadencję. Serdecznie gratulujemy!

◆ „Nasz Dziennik”, którego pojawienie się powitalimy w poprzednim numerze CL, wydał w czerwcu setny numer, a jego objętość doszła do 16 stron. Nakład pisma wynosi średnio 260 tys. egzemplarzy (dziennik), z czego jednak sprzedaje się tylko 120 tys. Wyższą sprzedaż mają jedynie „Gazeta Wyborcza”, „Super Express” i „Rzeczpospolita”, ambicją Redakcji jest jednak osiągnięcie wyższej lokaty. Niebawem w Krakowie zacznie wychodzić codzienny dodatek regionalny. Dziennik jest pismem o pełnym profilu tematycznym, z serwisem politycznym, gospodarczym, społecznym, kościelnym, kulturalnym, sportowym.

„Nasz Dziennik” jest jedynym pismem o orientacji katolicko-narodowej, dlatego gorąco zachęcamy Czytelników do nabywania tego pisma, tym bardziej że spotykamy tam życzliwość dla spraw, które nam są bliskie. Marzylibyśmy o cotygodniowym dodatku *kresowym*, który powinien regularnie dochodzić do Lwowa i Wilna, a stamtąd do mniejszych miejscowości (nie byłoby to obciążeniem dla Redakcji, póki są zwroty).

# KULTURA NAUKA

## DOKTOR H.C. BORYS WOŹNICKI

Krakowska Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej przyznała doktorat honoris causa Borysowi Woźnickiemu, historykowi sztuki ze Lwowa. Uroczystość nadania tytułu miała miejsce w Krakowie 11 maja. O B. Woźnickim pisze prof. Zdzisław Żygulski, recenzent dorobku i zasług Laureata.

Borys Woźnicki jest od 1962 roku dyrektorem Lwowskiej Galerii Obrazów. Urodzony w r.1926 we wsi Ulbarów (obecnie Nahorne) na Wołyniu, uczęszczał do szkół polskich w tejże miejscowości, następnie w Dubnie i Równem. W 1944 r. został wzięty do armii sowieckiej i wysłany na front. W służbie czynnej pozostawał do r.1950. Po demobilizacji ukończył we Lwowie liceum rzemiosła artystycznego, a następnie studiował historię sztuki w leningradzkiej (ówcześnie – przyp. red.) Akademii Sztuk Pięknych. Pracę muzealniczą podjął w roku 1960 w lwowskim Muzeum Sztuki Ukraińskiej, potem zaś we wspomnianej Galerii Obrazów, zawierającej największy we Lwowie zbiór obrazów, w tym liczne dzieła czołowych malarzy polskich.

W latach 1960–70 Borys Woźnicki rozwinął akcję wyszukiwania i ratowania porzuconych dzieł sztuki na terenach dzisiejszej *Ukrainy Zachodniej*. Było to zadanie niebywale trudne, odpowiedzialne i zarazem niebezpieczne. Zagorzałym komunistom, jak również zapiekłym w nienawiści ukraińskim nacjonalistom nie mogło się podobać ratowanie pamiątek po „polskich panach”. Woźnicki zdołał przełamać wszelkie opory ideowe i techniczne. Sprzyjały mu cechy charakteru: szalony upór przy łagodnym usposobieniu i wielkim opanowaniu, nie bez poczucia humoru i szczypty ironii. Władając płynnie trzema językami – rosyjskim, ukraińskim i polskim – potrafił zjednywać sobie sojuszników i sprawnie, przy minimalnych funduszach, kierować zespołem pracowników. Chyba największym problemem było uzyskiwanie środków transportu i znalezienie tragarzy oraz miejsc, w których by można obiekty przechować. Przewoził więc zabytki najczęściej wojskowymi samochodami ciężarowymi, zabezpieczone jak mógł najlepiej, pod planetką. Zdarzało się, że w ostatniej chwili przy-

bywał do zrujnowanego kościoła, we wnętrzu którego piętrzył się stos drewnianych figur, przeznaczonych na opał. W ciągu kilkunastu lat uporczywej, pełnej poświęcenia pracy zdołał zgromadzić około 12 tysięcy obiektów, w tym 800 portretów sarmackich, 2500 rzeźb barokowych, 1000 ikon oraz setki sztuk mebli i przedmiotów rzemiosła artystycznego. Najbardziej fascynującym jego wyczynem było uratowanie czterech trofealnych batalistycznych obrazów z kolegiaty w Żółkwi, z zespołu urządnego przez króla Jana III Sobieskiego: *Bitwy pod Kluszyńcem*, *Bitwy pod Chocimiem* (1673), *Bitwy pod Wiedniem* i *Bitwy pod Parkanami*. Większość tych obiektów przeniósł do Oleska, urządzając stałą wystawę w tamtejszym zamku, oraz wzorowy magazyn w pokapucyńskim kościele i klasztorze.

Borys Woźnicki odgrywał i nadal odgrywa decydującą rolę w konserwowaniu licznych polskich zamków, zwłaszcza w Podhorcach i w Złoczowie. W samym Lwowie przyczynił się do odnowienia kaplicy Boimów, kościoła św. Jana Chrzciciela – najstarszego rzymskokatolickiego kościoła lwowskiego z pierwszej połowy XIV w. (z galerią ikon), oraz kościoła ss. Klarysek (ze stałą wystawą rzeźby znakomitego artysty barokowego, Jana Jerzego Pinsla).

Borys Woźnicki pozostaje w bliskich stosunkach z polskimi kolegami, szczególnie w Zamku Królewskim na Wawelu, w Muzeum Narodowym w Krakowie, Muzeum Okręgowym w Radomiu, Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej w Przemyśle i Muzeum Śląskim w Katowicach, jak również w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Wypożyczając obiekty z muzeów lwowskich przyczynił się do urządnienia w RP licznych, ogromnie interesujących wystaw. Jest członkiem Międzynarodowej Rady Muzeów (ICOM) i różnych towarzystw naukowych. Jest autorem szeregu cennych prac w zakresie historii sztuki i muzealnictwa.

W ciągu minionego 25-lecia mało kto spośród obcokrajowców tak bardzo zasłużył się dla kultury polskiej, jak Borys Woźnicki. Przyznanie mu doktoratu honorowego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie jest wyrazem wysokiego uznania ze strony narodu polskiego.

Zdzisław Żygulski jun.

## ZE SZWAJCARII O ŚWIRZU

Zacznijmy od wyjaśnień. Po pierwsze: w Londynie istnieje od czasu II wojny *Polski Uniwersytet na Obczyźnie* (PUNO), a wspiera go m.in. Towarzystwo Przyjaciół PUNO. Towarzystwo to wydaje kwartalnik

pt. „Universitas”, którego redaktorem naczelnym jest prof.dr Andrzej Żaki, polski archeolog zamieszkały w Zurychu w Szwajcarii. O piśmie tym wspominaliśmy już w poprzednim numerze CL.

Po drugie: prof. Żaki pochodzi ze Świrza nieopodal Lwowa (prosimy przeczytać jego *sylwetkę* w tym numerze). Zrozumiałe więc, że we wspomnianym czasopiśmie ukazują się również artykuły, poświęcone Małopolsce Wschodniej. Pisuje je też sam redaktor, gdy ma coś ważnego do zakomunikowania.

Takim właśnie wydarzeniem stało się ostatnio odnalezienie w kościele w Świrzu nagrobka Gabriela Świrskiego, pierwszego tłumacza poezji Wergiliusza na język polski. Nic dziwnego, że Profesora ten temat pasjonuje, bo nie tylko sprawa jest archeologiczna, lecz w dodatku dotyczy jego rodzinnej miejscowości. W numerze 68–69/1997 „Universitas” znajdujemy więc o tym obszerny artykuł.

Prof. Żaki wyjaśnia, że Świrscy, ród rycerski, wywodzili się (jak świadczy nazwisko) ze Świrza i rezydowali tam przez kilkadziesiąt lat – do XVIII wieku (pisaliśmy też o tym w naszym *słowniku geogr.hist.* w CL 2/95). Gabriel Świrski urodził się ok. 1550 r., był synem Andrzeja, wojskiego trembowelskiego, uczył się w domu rodzinnym, a potem u dominikanów we Lwowie. Zmarł po r.1600 i został pochowany w świrskim, XVI-wiecznym kościele.

Gabriel przełożył na polski, a ściślej sparafrazował część utworu *Georgiki* Wergiliusza, nadając mu tytuł *Pasiecznik*. Utwór jest napisany dobrą, żywą polszczyzną, przypomina niektóre dzieła Mikołaja Reja (urodzonego wszak niedaleko – w Żurawnie). Prof. Żaki pisał osobno o tym utworze w „Universitas” nr 51/1992.

Kościół parafialny w Świrzu został po II wojnie zamieniony na magazyn kołchozowy i ulegał systematycznemu niszczeniu. Ostatnio został zawłaszczony przy poparciu władz przez grekokatolików. W trakcie barbarzyńskich przeróbek budowlanych wydobyto z podziemi całe hałdy ziemi i gruzu, a w tym wielką, piękną kamienną płytę z wrytymi łańciskimi napisami i nazwiskiem Gabriela Świrskiego (oraz jego żony). Jest prawdopodobne, że w podziemiach kościoła, dawniej niedostępnych (zamurowanych) spoczywały szczątki innych jeszcze Świrskich, a także ich następców – Cetnerów.

(Red.)

## ORMIAŃSKIE PAMIĄTKI

W lutym–marcu tego roku w Muzeum Etnograficznym im. Seweryna Udzieli w Krakowie była prezentowana wystawa „Ormianie polscy”, przygotowana dzięki staraniom Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego. Głównym celem wystawy było przypomnienie, że historię, a także kulturę Polski współtworzyli tak samo różni nie-Polacy, których wcale nie mało przewinęło się przez dzieje Rzeczypospolitej. Dzisiaj, kiedy Polska tak cieszy się odzyskaną niedawno suwerennością, nie zawsze pamięta się o tych *innych*, a przecież w żadnym razie *obcych* współobywatelach. Szkoda, bo również ich wkład jest w tym, co stanowi naszą wspólną teraźniejszość. Wystawa miała więc przypomnieć zwiedzającym Muzeum, że skromną cegiełkę dorzucili do polskiego dziedzictwa również Ormianie.

Ormianie znaleźli się w granicach Rzeczypospolitej w XIV wieku po odzyskaniu Ziemi Czerwieńskiej przez Kazimierza Wielkiego. Na Rusi Halickiej pojawili się bowiem Ormianie już około XI wieku, jak chce tradycja – zmuszeni do emigracji po podboju Armenii przez Turków seldżuckich, a zwłaszcza po upadku Ani, ówczesnej stolicy, w 1064 r. Kiedy więc Lwów czy Kamieniec Podolski znalazły się pod panowaniem polskich królów, były tam już zasiedlone kolonie Ormian, prosperujące dzięki ich biegłości we wschodnim handlu i rzemiośle. Kolejni królowie doceniali zyski przynoszone przez obrotnych Ormian, będących wręcz idealnymi pośrednikami między mułmańskim Wschodem i chrześcijańską Europą, i obdarzali ich przywilejami mającymi zachęcać do pozostania w miastach na kresach Rzeczypospolitej. Ormianie umieli docenić przychyłność, z którą spotykali się w Polsce, i stopniowo, przez kolejne wieki i pokolenia coraz mocniej wiązali się z nową ojczyzną. Ostatnie ograniczenia w pełnej asymilacji zniknęły w 2. połowie XVII wieku, po przyjęciu przez Kościół ormiański w Polsce unii z Rzymem. Trudno więc się dziwić, że w XX wiek polscy Ormianie weszli już jako przedstawiciele polskiego ziemiaństwa i inteligencji.

Wystawa w Muzeum Etnograficznym miała przypomnieć ową 600-letnią obecność Ormian w polskim społeczeństwie. Większość eksponatów została wypożyczona przez osoby prywatne, w większości przez rodziny polskich Ormian. Były to portrety i fotografie, dzięki którym można było spojrzeć w twarze ludzi towarzyszących Polsce w ostatnim stuleciu jej historii, w dobrych i złych chwilach. Przypomniano również dawniejsze dzieje i wybitne jednostki, jak choćby Grzegorza Piramowicza,

autora pierwszego polskiego elementarza, czy arcybiskupa Józefa Teodorowicza, którego wkład w odbudowę państwa polskiego po okresie rozbiorów trudno przecenić. Dawne ormiańskie specjalności, handel i rzemiosło, przybliżyły eksponaty udostępnione przez krakowskie muzea: Etnograficzne i Narodowe. Były również książki, druki, reprodukcje, pokazujące dziedzictwo kulturalne Armenii. Przypomniane zostały najważniejsze etapy historii dawnej ojczyzny Ormian, oraz fakt, że od 1991 roku Armenia znowu może cieszyć się niepodległością.

Wydaje się, że owe kilkaset eksponatów, które można było dzięki wystawie obejrzeć, umożliwiło odbycie krótkiej wycieczki w przeszłość. Dla polskich Ormian było to przypomnienie tradycji pieczołowicie przeniesionej przez pokolenia, a dla pozostałych gości wystawy – być może pierwsza w życiu okazja aby dowiedzieć się, że kilkadziesiąt pokoleń Ormian służyło Polsce na miarę swoich umiejętności i możliwości. Tym większa więc zasługa Muzeum Etnograficznego, dzięki któremu wystawa „Ormianie polscy” mogła przez miesiąc pokazywać skromne okrucy ormiańskiej tradycji.

Antoni Amirowicz

## VIVAT NOWY SĄCZ! VIVAT JERZY MAŚIOR!

Z końcem kwietnia odbył się w Lesznie już VI Festiwal Piosenki Lwowskiej. Przybyło tam więcej niż kiedykolwiek, bo aż 150 młodych śpiewaków ze szkół podstawowych i licealnych, z całej RP. Śpiewano indywidualnie i zespołowo, a *jury* tworzyli profesorowie poznańskiej szkoły muzycznej.

Wielki sukces (jak zwykle!) odniosła młodzież z Nowego Sącza, zgarnęli większość nagród. W klasie A bezapelacyjnie zwyciężyła znana nam dobrze Ania Patykówna (piosenką *Pojedziemy do Janusza* – słowa J. Masiór, muz. A. Porzucek). II miejsce zajęła Karolina Jurczyńska z zespołu My-Szesnastka (pisaliśmy o nich w CL 3–4/95), zaś III miejsce przypadło malutkiej Sylwii Homonickównie z 2. klasy szkoły podstawowej w Maciejowej (vivat jej nauczycielka i instruktorka, pani Teresa Waligórowa). W ogóle zespół szkolny z Maciejowej zrobił świetne wrażenie.

W klasie B pierwsze miejsce zdobyła ubiegłoroczna laureatka Festiwalu Kinga Pancerzówna (też z My-16) – pobila nawet gwiazdę z Warszawy, doskonałą Katarzynę Rzymską. Także w kategorii zespołów II miejsce zajęła My-16, śpiewając tradycyjne lwowskie piosenki.

W występie zbiorowym I miejsce zdobyły dziewczęta z IV liceum w Nowym Sączu: Kinga Dobosz, Kinga Kotela, Dorota Baczyńska i Kasia Piasecka, które śpiewały sądecko-lwowskie przeboje spółki autorskiej Masior-Porzucek. Na wyróżnienie zasłużył sobie też pianista-akompaniator, uczeń nowosądeckiej szkoły muzycznej, Maciek Adamczyk.

A więc Nowy Sącz górą! Górą Małopolska! Dziękujemy Ci, Jerzy. (Red.)

## Kronika

□ W kwietniu odbyła się w Warszawie już VII aukcja książek, grafik i czasopism pt. **Kresowiana i cymelia**, organizowana przez **Instytut Lwowski**. Przypomnijmy, że twórcą i dyrektorem tej placówki – jej duszą – jest p. Janusz Wasylkowski, kolekcjoner, poeta i działacz na lwowskim polu w Warszawie.

□ Gdańskie Muzeum Narodowe zorganizowało w kwietniu w tzw. Spichrzu Opackim w Oliwie **wystawę pt. Co kryły walizki „repatriantów”**. Pokazano od mebli poczynając, poprzez przedmioty gospodarstwa domowego, warsztaty rzemieślnicze – po bibeloty, pamiątki, zdjęcia, dokumenty. Wystawiono m.in. meble i dzieła sztuki z 21-pokojowego lwowskiego mieszkania prof. Witolda Minkiewicza (osiadłego po wojnie i zmarłego w Gdańsku – jego *sylwetkę* przedstawiliśmy w CL 2/97).

□ Z końcem kwietnia odbyło się w Krakowie – zorganizowane przez tutejszy oddział „Wspólnoty Polskiej” – Forum Polskich Historyków z Europy środkowo-wschodniej pt. **Historia Polski po komunizmie – aspekty dydaktyczne**. Celem Forum było przedstawienie naszych dziejów w świetle nie marksistowskim, marksizmem bowiem zostali zainduktrynowani historycy, wychowani na uczelniach sowieckich. Na Forum przybyli nauczyciele i badacze z państwa ukraińskiego, w tym ze Lwowa, Truskawca i Mościsk.

□ W drugiej połowie kwietnia w krakowskim Domu Polonii była czynna **wystawa fotograficzna pt. Sztuka Kresów Wschodnich**, zorganizowana przez Koło Naukowe Studentów Historii Sztuki UJ, Instytut Historii Sztuki UJ i „Wspólnotę Polską” w Krakowie. Prezentowane tam fotogramy (autorstwa Światosława Lenartowicza i Tomasza Zauchy) były plonem sześciu już wyjazdów inwentaryzacyjnych do Małopolski Wschodniej (1992–97 – piszemy o nich corocznie), a przedstawiały głównie kościoły, lecz także widoki miast, krajobrazy.

Wystawa nie miała charakteru dokumentacyjnego. Jej celem było pokazanie atrakcyjności wizualnej ziemi za kordonem (*trudno na kilkudziesięciu fotografiach ogarnąć piękno i bogactwo tamtych terenów* – napisali autorzy). Ale także pokazanie barbarzyństwa – przecież nie tylko Rosjan i Kałmuków różnego chowu. Rzecz bowiem w tym, że to barbarzyństwo wcale się nie skończyło, przybrało tylko inne oblicze.

□ Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne w Krakowie zorganizowało z początkiem maja **IV Ogólnopolskie Spotkanie Środowiska Ormiańskiego**, poświęcone wielkiej postaci arcybiskupa Józefa Teodorowicza. W trakcie sesji mówiono o lwowskiej archidiecezji obrz. ormiańskiego oraz o ormiańskich instytucjach i organizacjach w czasach abpa Teodorowicza, o jego genealogii, herbie i tradycji rodzinnej, o jego piśmiennictwie i korespondencji. Pokazano też film z zarejestrowaną postacią Arcybiskupa. Sesję zakończyła msza św. oraz wieczór staroormiańskich pieśni i poezji.

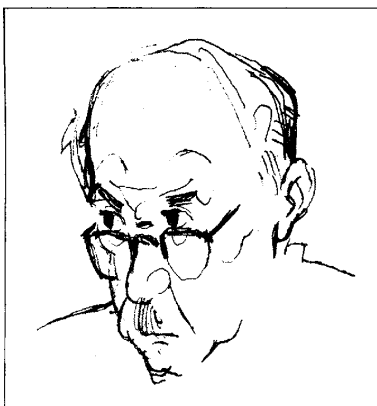
Patrz artykuł A. Pisowicza w tym numerze. Tamże zdjęcie abpa Teodorowicza.

□ Akademia Ekonomiczna w Krakowie nawiązała współpracę z Akademią Handlową, działającą we Lwowie – stosowną umowę podpisała tam delegacja krakowska, w skład której wchodził m.in. **dr Zbigniew Paszek, dyrektor Szkoły Przedsiębiorczości i Zarządzania** krakowskiej AE (lwowianin z urodzenia). Szkoła PiZ zobowiązała się zorganizować – wspólnie z tamtejszą AH – studia podyplomowe i ufundowała (razem z AE) dwa stypendia dla młodych Polaków na studia dzienne w Krakowie.

□ W krakowskim Muzeum Narodowym prezentowano w kwietniu–maju **wystawę pt. Malarzy polskich portret własny – In propria persona** – z zasobów, tzw. Lwowskiej Galerii Obrazów (przechowywanych głównie w magazynach). Była to bogata i artystycznie znakomita wystawa, obejmująca autoportrety najbardziej i mniej znanych malarzy, zarówno „ogólnopolskich”, jak i lwowskich. Z tych pierwszych: m.in. Matejko, Wyczółkowski, Malczewski, Boznańska, Pronaszko, ale także Sichulski – ogólnopolski i lwowski zarazem, lub Bruno Schulz – ogólnopolski i drohobycki. Z wybitnych malarzy lwowskich: Jan Ignacy i Marceli Maszkowscy, Stanisław Rejchan, Zygmunt Rozwadowski, Franciszek Zajchowski, Luna Drexlerówna i inni. Ogółem pokazano autoportrety 65 malarzy.

□ W maju–czerwcu – w salach Muzeum Historycznego Miasta Krakowa w pałacu Krzysztofora przy Rynku Głównym – pokazano **wystawę Kraków–Lwów w fotograficznej kamerze**, ze zbiorów krakowskich i przywiezionych ze Lwowa (wcześniej była eksponowana we Lwowie). Około 200 zdjęć z przełomu XIX/XX w. przedstawiało panoramy, widoki i architekturę, a także życie i ludzi. Plansze zestawiono wg analogii tematycznej w wydaniu lwowskim i krakowskim – metoda, którą zastosowano wcześniej w tym samym Muzeum na wystawie widoków dawnego obu miast (pisaliśmy o niej w CL 3/96). Bardzo się nam podoba ten sposób – my też go chętnie stosujemy: patrz *Dwa teatry* (CL 4/96) i *Dwa miasta* (CL 1/98).

Prof. Juliusz Joniak. Rys. J. Szancenbach



□ W Pałacu Sztuki przy pl. Szczepańskim w Krakowie czynna była w maju wystawa twórczości malarskiej **Juliusza Joniaka**, profesora tutejszej ASP. Eksponowane obrazy to głównie pejzaże (najwięcej z Francji) i martwe natury, mieszczące się w pojęciu *koloryzmu*. J. Joniak urodził się we Lwowie.

□ W kwietniu w Galerii na Pięterku Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie odbyła się wystawa **obrazów Stanisława Pacejewskiego**. Kijowianin z urodzenia – ze strony ojca ma pochodzenie polskie. Jego przodek trafił na zesłanie po powstaniu 1831 r. Autor wystawę tę poświęcił pamięci ojca, Jana Stanisława Pacejewskiego.

□ Znany i popularny w Krakowie aktor (dziś już starszego pokolenia) **Julian Jabczyński** obchodził niedawno 50-lecie swej pracy na scenie. Urodził się w Stanisławowie, tam dorósł, a aktorskiej sztuki uczył się od 1945 r. w Krakowie. Grał krótko w Opolu, w Gdańsku, ale większość życia spędził w teatrach krakowskich.

## Książki czasopisma

📖 Ukazały się dwa niezwykle ciekawe dzieła o charakterze heraldyczno-genealogicznym, ale nasze szczególne dla nich zainteresowanie wynika z faktu, że ogromnie wzbogacają naszą wiedzę o określonym wycinku życia społecznego Małopolski Wschodniej (zresztą nie tylko tego regionu).

Pierwsza to luksusowo wydana księga pt. **Genealogia rodów utytułowanych w Polsce**, tom I, opracowany przez **Tomasza Lenczewskiego**, a wydany przez Oficynę Wydawniczą „Adiutor” (Warszawa 1995–96). Księga obejmuje 60 rodów książęcych, hrabiowskich i baronowskich (na 220 zamierzonych, co oznacza przynajmniej 4 tomy). Wśród przedstawionych w omawianym tomie rodzin, występuje oczywiście wiele takich, które wywodziły się, lub których gałęzie przez wiele pokoleń były osiadłe w Małopolsce Wschodniej. Spotykamy przy okazji wiele postaci historycznych, a także wiele nazw miejscowości i rezydencji, zapamiętanych z dziejów lub literatury, z przewodników, opisów, opowiadań lub widzianych osobiście. W tomie I znajdujemy wśród rodów książęcych: Czartoryskich, związanych z Żurawnem, Jabłonowskich – z Bursztynem, Lubomirskich (Miżyniec, Czerwonogród, cukrownia w Chodorowie) – którzy przez kilka pokoleń pełnili godność kuratorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wśród prezentowanych w tym tomie rodzin hrabiowskich, głównie z Małopolską Wschodnią byli związani: Badeniowie (Busk, Radziechów), Lanckorońscy (Rozdół, Komarno), Pinińscy (Grzymałów, Rozłucz), Wolańscy (Rzepińce w buczackim, Świrz), baronowie Brunicy (Zaleszczyki, Lubień Wielki), a także gałęzie rodzin: hr. Krasickich (Stratyn), Mycielskich (Borynicze), Reyów (Mikulińce, Psary), Rzewuskich (Podhorce, Rozdół) i kilka innych.

📖 Drugie dzieło – to **Nobilitacje w Galicji w latach 1772–1918 Sławomira Górzyńskiego** (wyd. DiG, Warszawa 1997). Jest to wykaz osobistości i rodzin, podniesionych do stanu szlacheckiego w Małopolsce-Galicji w całym okresie zaboru austriackiego. Rzecz dla nas równie interesująca, bo ponad połowa nazwisk wiąże się ze Lwowem (wiadomo, stolica!) i Małopolską Wschodnią (Stanisławów, Tarnopol, Drohobycz, Sambor, Nadwórna itd.) – bądź to

miejszem urodzenia, bądź działalnością i stanowiskiem, a w większości jednym i drugim. Wśród uszlachconych są zarówno rdzenni Polacy, jak i napływowi – lecz zasiedziali, a nawet już spolszczeni, lecz także świeżo napływowi – Niemcy i Austriacy, Czesi i członkowie innych nacji habsburskiej monarchii. Tych drugich jest chyba najwięcej w omawianym wykazie, a jednak są oni dla nas niezwykle interesujący, bo ich potomkowie w pierwszym, a najdalej drugim pokoleniu byli już Polakami i polskimi patriotami. Są do dziś jednymi z nas, a może nawet sami nimi jesteśmy. W każdym razie ktoś z nas nie ma mniejszej czy większej dawki krwi (wcale nie błękitnej) owych okupacyjnych urzędników i wojskowych albo kolonistów? Nie szukając daleko: piszący te słowa ma wśród 16 przodków w czwartym pokoleniu (wstecz) 8 nazwisk o brzmieniu polskim, 4 austriacko-niemieckim, 2 czeskim, 1 węgierskim i 1 rusińskim. Ale uwaga: z wymienionych tylko owe dwa czeskie nie należały do Polaków.

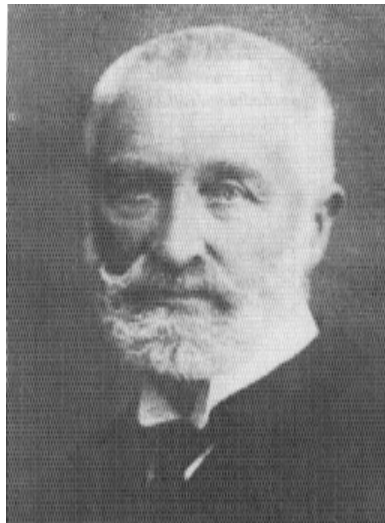
Wracając jednak do nobilitacji: podnoszeni do stanu szlacheckiego dobierali sobie zazwyczaj tzw. *predykaty* (przydomki – nie mieszczą z nazwami herbów, bo w Austrii herby nie miały nazw, tak jak w Polsce). Między nazwiskiem a predykatem stała *partykuła* „von” – po polsku „z” (tak jak *Maćko z Bogdańca*). Predykaty dotyczyły majątku, np. *Krzeczunowicz von Olejewo* (1785 r.) lub *Wisłocki von Wisłucha* (1916 r.). Jednak nie wszyscy nowi szlachcice mieli majątki, bo byli urzędnikami, wojskowymi, kupcami lub profesorami, więc wymyślano sobie różne predykaty, np. od pól bitew, miejsc urodzenia, nazwiska matki itp. – przykładem: *Estreicher von Rosbierski* (1881) lub *Rydygier von Ruediger* (1903 r. – to ten, który spoczywa na Cmentarzu Orłąt we Lwowie). Warto dodać, że owo *von* niektóre rodziny zamieniały później na sympatyczniej brzmiące francuskie *de* (znaczy to samo).

Trochę jak nie z tego świata, ale ciekawe i wiedzieć warto.

📖 Przed paru laty obdarzono nas pewną książką, której tytułu i autora nie wymienię (oczytany w *leopolitanach* Czytelnik i tak sam na to wpadnie), a w owej książce opisano ileś tam postaci, które autor uznał za *synonimy* Lwowa. Bieda w tym, że obok nazwisk autentycznie lwowskich i wartych zapamiętania, natrafiamy na takie jak Kuroń, Izabella Cywińska (*Boża podszewka!*) lub Irena Dziedzicówna i jeszcze parę innych pań i panów podobnego pokroju. Brak wycucia? Jakaś polityka? Cokolwiek by było, pozostał niesmak.

Do nazwisk, które naprawdę można uznać za *synonimy* Lwowa – bo należą nie tylko do

pojedynczych osób, w taki czy inny sposób zasłużonych dla Lwowa i Małopolski Wschodniej, lecz do rodzin – niemal dynastii, które dały krajowi, miastu i regionowi cały poczet wybitnych osobistości, nawet po kilka w jednym pokoleniu (podobnie jak np. w Krakowie Estreicherowie), należą Hausnerowie, Strońscy, Longchamps'owie, Łomniccy i jeszcze parę innych, a także – Cieńscy. Rodziny te w całości proszą się o osobne monografie, proszą się także ich wybitni członkowie.



Tadeusz Cieński

Do takich wybitnych rodów zaliczają się wymienieni wschodniomałopolscy ziemianie Cieńscy. Wspomnijmy choćby dobrze pamiętane dwie sylwetki z nieodległych jeszcze czasów: braci księży Włodzimierza i Jana Cieńskich (patrz CL 4/97).

Na razie otrzymaliśmy biografię Tadeusza Cieńskiego (ojca wymienionych księży), wybitnego polityka konserwatywnego, działacza i gospodarza: **Ziemiainin – polityk Tadeusz Cieński 1856–1925. Z dziejów konserwatywnego wschodniogalicjskiego**. Autor **Adam Wątor**, wydał Uniwersytet Szczeciński, 1997). Był to bogaty właściciel dóbr – Pieniaki w pow. brodzkim, Okno na Pokuciu i inne liczyły ok. 15 tys. hektarów – który nie szczędził środków na działalność polityczną i społeczną, oddając się jej z pasją przez wiele dziesięcioleci, jako członek sejmu galicyjskiego, a w Polsce Odrodzonej jako senator. Odegrał dużą rolę w okresie zmagania o odbudowę państwowości Polski i Obronie Lwowa 1918 r. (spoczął na lwowskim Cmentarzu Orłąt). Jego wnuczka i prawnuk mieszkają w Krakowie, inni potomni w różnych częściach świata.



Na przełomie kwietnia i maja otrzymaliśmy do rąk już piątą (czy dopiero piątą – ma ich być do czterdziestu!) tom serii materiałów inwentaryzacyjno-historycznych o kościołach na ziemiach południowo-wschodnich. Seria – jak pamiętamy z poprzednich doniesień (ostatnio CL 2/97) – oparta jest na inwentaryzacji ocalałych zabytków architektury i sztuki sakralnej (lub ich resztek), dokonywanej od kilku lat przez zespół młodych pracowników i studentów Instytutu Historii Sztuki UJ w Krakowie, pod kierownictwem naukowym prof. Jana Ostrowskiego. Tom V *Kościółów i klasztorów rzymskokatolickich dawnego województwa ruskiego* został wydany, jak poprzednie, przez Międzynarodowe Centrum Kultury (Kraków 1997).

Omawiany tom jest wśród dotychczasowych najobszerniejszy: 366 stron tekstu i 613 (!) zdjęć. Należy też do najlepiej zakomponowanych, ponieważ dotyczy jednej okolicy: dekanatu samborskiego (przed wojną była to diecezja przemyska, obecnie archidiecezja lwowska), choć brakuje tu kilku już wcześniej opublikowanych obiektów-perel: kościołów w Dobromilu, Nowym Mieście i paru innych.

Nowy tom należy też do najbardziej atrakcyjnych, ponieważ obejmuje świątynie tak niezwykłego miasta, jakim jest Sambor, a także gotycki kościół w Felsztynie oraz obiekty Zakładu Wychowawczego w Chyrowie-Bąkowicach. Poza wymienionymi czołowymi, tom prezentuje kościoły w Biskowicach, Boryni, Brześcianach, Chyrowie, Czukwi, Ilniku, Komarnikach, Laszkach Murowanych, Łomnej, Rakowej, Rozłuczu, Sądziadowicach, Starej Soli, Strzałkowicach, Turce, Wojutyńczach i Wołczem.

Niezwykłą wartością całej serii jest każdorazowa konfrontacja stanu obecnego – z nielicznymi wyjątkami tragicznego – ze stanem dawnym, z uwzględnieniem rozwoju i przekształceń oraz wyposażenia (rzeźby, polichromie, obrazy, organy, ołtarze, meble, przedmioty i stroje liturgiczne itd.). Ujęcie takie znajduje też odbicie w doborze materiału fotograficznego, w którym nie pomija się przedmiotów zniszczonych, zagrąbionych lub przeniesionych na inne miejsce.

Twórcom i wydawcom serii – podobnie jak autorowi analogicznych materiałów o rezydencjach, prof. R. Aftanazemu – należy się najwyższe uznanie i wdzięczność. Otrzymujemy bowiem niezwykle ważną dokumentację wielu wieków polskiej historii i kultury na ziemiach sztucznie odciętych jałtańską granicą.

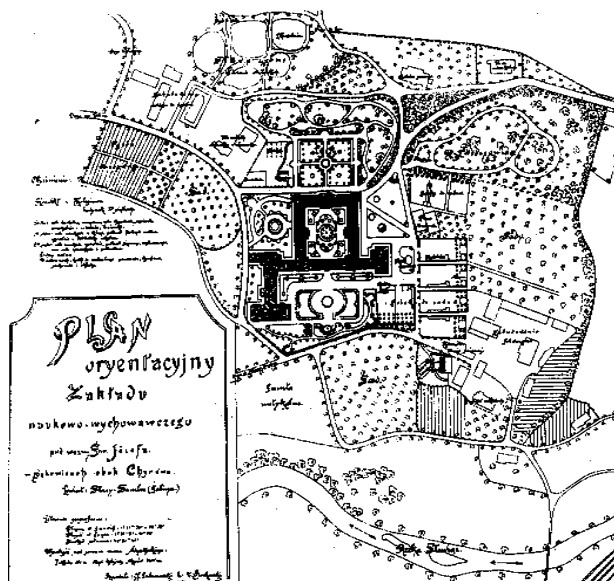
Skoro w tym numerze poświęconym Orientowi piszemy również o polskich Ormianach, to warto zwrócić uwagę na książki jed-

nego z nich Tadeusza Petrowicza. Jest to dziś emerytowany inżynier-leśnik, mieszkający – po wielu życiowych przystankach – w Lublinie. Urodził się w Worochcie, gdzie jego rodzice prowadzili pensjonat.

T. Petrowicz napisał kilka książek (i sporo artykułów w czasopiśmie), nas atoli najbardziej interesują dwie: *Od Czarnohory do Białowieży* (Wydawnictwo Lubelskie, 1986) i niedawno wydana *Zaczęło się w Czarnohorze* (Wyd. „Łowiec Polski”, Warszawa 1996). Pierwszą poświęcił autor swoim barwnym kolejom życia. Jedna trzecia tomu odnosi się do jego ziemi rodzinnej – tej, w której się urodził, a także tej, skąd jego ród pochodzi – Armenii. Pisze ciekawie o polskich Ormianach, a nawet przytacza wiersz swego ojca, Kajetana Petrowicza, który i my powtarzamy w tym numerze. Duży rozdział poświęca górą i lasom Czarnohory, Worochcie, Hucułom, i swojemu wśród nich życiu. Dalsze 2/3 książki to lata powojenne: Proszowice, Sądeckie i Białowieża, a w końcu Lublin.

Drugą z wymienionych książek poświęcił autor swej wielkiej pasji – łowiectwu, jest bowiem zapalonym i wytrawnym myśliwym. I tu cały rozdział dotyczy Wschodnich Karpat, w których zdobywał swoje pierwsze doświadczenia i trofea. Opowiada o swych przyjacielach, Polakach i Hucułach. Do książki dołączył autor na początku tekst *Kostrzyca. Wspom-*

Chyrow, zakład jezuitów, rzut ogólny założenia, 1903, wg *Materiały do dziejów sztuki sakralnej dawnej Rzeczypospolitej*, t.5, Kraków 1997



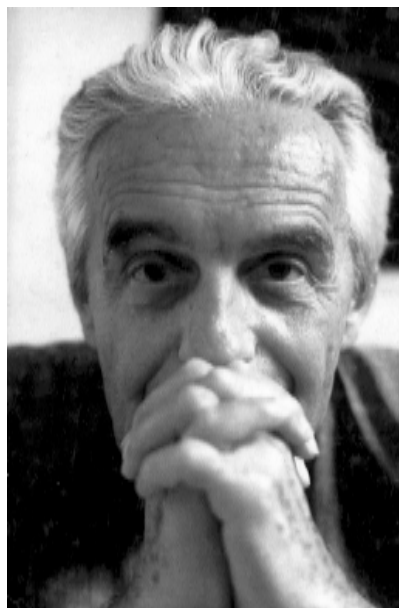
*mnienia harcerki* spisane w 1936 r. przez Halinę Iwaszkiewiczównę, a na końcu własną relację z podróży w Czarnohorę w 1992 r. *Czterdzieści osiem lat później*. Ten ciekawy i dramatyczny tekst kończy się jednak wnioskami, które niekoniecznie trafiają nam do przekonania. W pamięci zawsze mamy słowa, które do króla szwedzkiego na Wawelu wypowiedział książdz Szymon Starowolski.

📖 Z tych samych „orientalnych” powodów warto odnotować książeczkę wydaną przed 10 laty, a która przywołuje nieistniejący już świat chasydów: **Dziewięć bram** (wyd. Znak, 1988). Autor, **Jiri Langer**, to syn zasymilowanej w Czechach rodziny żydowskiej, który powodowany wewnętrznym nakazem udaje się do wschodniogalicyskiego Bełza, przenosząc się zarazem z dwudziestowiecznej Pragi o dwa a może i pięć stuleci wstecz, do środowisk zacofanych chasydów, które żyły życiem nieustannego transu mistycznego, w stanie nie kończącej się ekstazy, zupełnie poza czasem, przestrzenią i materią.

Książka składa się z 9 opowieści (dziewięciu bram, jak owych bram Jerozolimy), których scenarię jest głównie wschodnia (i w ogóle cała) Małopolska, ale także Kongresówka i Ukraina, zaś bohaterami sławni cadykowie, związani ze znanymi skądinąd miejscowościami: *Abraham Chaim ze Złoczowa, Aron i Szolem z Bełza, Jakub Icchak i Hirszele z Żydaczowa, Juda Hersz ze Stratyń, Aron Łejb i Majer z Przemyśla, Mendele z Kosowa, Mojsze Jidł Łejb z Sasowa, Pinches rabin we Frankfurcie – urodzony w Czortkowie*. Padają nazwy *Bóbrki, Kopyczyniec, Uhnowa*. Świat całkiem zapomniany...

📖 Inny tom opowiadań żydowskich ukazał się w ub. roku: **Henryka Grynberga Drohobycz, Drohobycz** (Wydawnictwo AB, Warszawa 1997). Jednak poza przyciągającym tytułem niewiele w nim o tamtych stronach: na 11 opowiadań tylko dwa: tytułowe i drugie: *Ucieczka z Boryslawia*, poza tym dwa wołyńskie. Mowa o Niemcach, Ukraińcach, o Brunonie Schulzu.

📖 Czytelnicy „Twojego Stylu” pamiętają zapewne felietony Mirosława Żuławskiego, które ukazywały się w tym miesięczniku w latach 1990–95. Już przy pobieżnym spojrzeniu na owe teksty rzucały się w oczy nazwy: Dobromił, Turka, Lwów, Czarnohora i wiele innych równie miłych sercu, nawet jeśli tekst dotyczył innej części Polski albo na przykład Francji lub Włoch. Po czym te felietony zebrano – niestety już po śmierci autora – i wy-



Mirosław Żuławski

dano jako książkę pod tytułem *Album domowe* (Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 1997).

Bo też każdy felieton-rozdział jest fotografią jakiegoś okresu życia autora (ale fotografią czterowymiarową), a jej tłem to ta, to inna miejscowość. Żuławski doliczył się 16 miejsc zamieszkania w ciągu swego życia, od Turki nad Sanem po Dakar, ale gdziekolwiek się znalazł – nad wszystkim unosiło się wspomnienie Dobromiła lub Lwowa. Wśród 53 ciepłych, refleksyjnych, mądrych i pięknie napisanych opowiadań (można czytać każde z osobna i wracać do nich po czasie), więcej niż połowa za bezpośrednie tło ma tamte strony.

📖 Na koniec nie o książce, lecz nowej **kasecie magnetofonowej**. Tarnowski oddział Tow. Miłośników Lwowa i Kresów Płd.Wsch. wydał kasetę-cegiełkę na odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa, a jej tytuł brzmi: **Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa Maryja** (Tarnów 1998). Taśma zawiera 24 piosenki *lwowskie*, ale uwaga – w większości nowe. Autorami słów i melodii są różni twórcy, także sławni: teksty m.in. Hemara, Szolcini, Masióra, a także Krystyny Angielskiej, Jana Billa i kilku innych twórców, podobnie z muzyką.

Kasetę nagrał zespół wokalnie-instrumentalny „Sercanie” parafii Najśw. Serca Pana Jezusa w Tarnowie pod dyrekcją Kazimierza Wesółskiego (nb. autora połowy melodii). Wielkie brawa!

Stefan S. Łukowski

## Jest co czytać (5)

### GŁOS MAŁEJ OJCZYZNY

Spośród licznych pism kresowych (na myśl mam zwłaszcza najbliższe mi *południowo-kresowe*) cenię sobie szczególnie te, które odnoszą się do *małych ojczyzn* – miejscowości, okolic czy powiatów. Wygnańcze środowiska, które je z samozaparciem wydają, są z natury najbardziej predestynowane, by zbierać materiały i spisywać historię swojej ziemi oraz swojej rozbitej wspólnoty, pielęgnować jej tradycję i ratować przed zapomnieniem, a historiom pozostawiając przyszłe syntezy. Jestem przekonany, że właśnie te małe zespoły redakcyjne (a czasem pojedynczy szaleńcy Boży) robią najlepszą robotę, bo zajmują się tym, na czym najlepiej się znają i czują. Po prostu nie tracą czasu – swojego prywatnego i tego przeszłego, który nazywamy Historią.

Jest takich pism cały bukiet. Nad swoimi małymi (i nie całkiem małymi) ojczyznami pochylają się tarnopolanie-podolanie (o ich biuletynie pisaliśmy w CL 3/97), złoczowianie (CL 4/96), stryjanie, drohobydzanie, kołomyjanie, a także wygnańcy z przemysłańskiego powiatu. Należy żałować, że nie mamy periodyku stanisławowskiego (przy takim zapleczu wrocławsko-krakowsko-warszawskim!) ani sambońskiego.

Sięgnijmy więc dziś do kolejnego z tych wartościowych i sympatycznych pism, które nosi tytuł „Spotkania Świrzan”\*. Miasteczko Świrz, położone w przemysłańskim powiecie, prezentowaliśmy w naszym *słowniku geograficzno-historycznym* (CL 2/95), ale przypomnijmy, że leży ono u podnóża Gologór, o 35 km na płd. wsch. od Lwowa, nad rzeczką Świrz, lewym dopływem Dniestru. W latach *przed potopem* liczyło ok. 2600 mieszkańców, a było wśród nich sporo ciekawych postaci. Na zamku świrskim rezydował w latach międzywojennych gen. Robert Lamezan-Salins i jego zięć – hr. Tadeusz Komorowski, późniejszy generał Bór. Stąd pochodziła poetka Mieczysława Piotrowska, po wojnie osiadła i niedawno zmarła w Zaleszczykach (w CL 4/98 poświęcimy jej wspomnienie i przedstawimy wiersze). Świrzaninem z urodzenia jest prof. Andrzej Żaki, którego *sylwetkę* przedstawiamy w tym numerze, oraz pani Marszałek Alicja Grześkowiak (*sylwetka* w CL 1/98). Wreszcie świrzaninem z dziada-pradziada jest pan Józef Wyspiański, redaktor omawianego tu pisma.

Skoro pada tu nazwisko *Wyspiański*, to trzeba zwrócić uwagę, że figuruje ono w najstarszych świrskich księgach metrykalnych z XVII w. Klan to szeroko rozrodzony, bo do

SŚ pisuje chyba kilkanaście osób o tym nazwisku, z różnych stron Polski. Nie ma wątpliwości, że do tego samego rodu należał nasz piąty wieszcz – *Archanioł Pański Stanisław Wyspiański*, którego ojciec urodził się w pobliskiej Bóbrce (pisaliśmy o tym w CL 3/96).

Oto tylko cząstka wkładu małego Świrza w historię Polski. Historia to bogata – wiemy to choćby ze wspomnianego *słownika* (i nie tylko, o czym niżej), ale Świrzanie pamiętają przede wszystkim to, co sami przeżyli, a przeżyli wiele. Mimo upływu dziesięcioleci żywo tkwią w pamięci wydarzenia II wojny: trzy okupacje, sowieckie wywózki, niemieckie prześladowania Polaków i Żydów, bestialstwo ukraińskich nacjonalistów, walka podziemna, na koniec wysiedlenie. A potem powroty – na krótko...

Jest więc o czym pisać w „Spotkaniach Świrzan”, i jest o czym czytać. Redaktorowi Wyspiańskiemu wspaniale udało się skrzyknąć rozproszonych po Polsce i świecie wygnańców z tego znakomitego polskiego miasteczka. Nie tylko świrzan zresztą – w kwartalniku pisze się także o sąsiednich miejscowościach: Bóbrce, Dunajowie, Narajowie, o powiatowych Przemyslanach i nieodległych Brzeżanach i Glinianach. Opisuje się czasy staropolskie, galicyjskie i międzywojenne, obie wojny – o tej drugiej niewspółmiernie więcej. Mnóstwo relacji uczestników wydarzeń i naocznych świadków, duża ilość życiorysów, relacji o losach wojennych i powojennych, o miejscach kaźni i grobach, o miejscach *powojennego postoju*. Wspomina się świrski zamek i okoliczne dwory: redaktor jest w kontakcie z przedstawicielami ziemiaństwa, pp. Adamem Komorowskim (syn Bora, w Londynie), Piotrem Pinińskim, a najbardziej z panią Nadią Pietruską z Tyzenhauzów z pobliskiego Kimirza, dziś osiadłą w Krakowie. Wreszcie omówienia wydawnictw, wiersze – najczęściej śp. Mieczysławy Piotrowskiej oraz Michała Błaszkiwa (warto pamiętać te nazwiska), bogata korespondencja. Wszystko to razem czyni lekturę SŚ interesującą i pouczającą. Pismo staje się cennym źródłem dla historyków: warto je polecić niektórym *pożal-się-Boże* znawcom, którzy w odniesieniu do Ziemi Wschodnich przyjęli obcą optykę i naciąganą faktografię. A materiałom ze SŚ rzetelności trudno odmówić.

Barbara Kraśnicka

\* Profesor Żaki zaproponował pewną modyfikację tytułu kwartalnika: „Spotkania Świrskie”. Naszym zdaniem miał rację: byłoby to bardziej zgodne z wykraczającym poza sam Świrz polem zainteresowań pisma, i zarazem podniosłoby jego rangę, a także prestiż Świrza, który byłby odtąd odbierany jako *Kraków przemysłańskiego powiatu*. Panie Józefie, przepraszamy, ale zachęcamy!

## Wertując wydawnictwa

⇒ Od kilku lat ukazują się książki serii Wydawnictwa Dolnośląskiego pod wspólną dewizą *A to Polska właśnie* (mottem serii jest fragment pamiętnego dialogu między Poetą a Panną Młodą z *Wesela* St. Wyspiańskiego, gdzie padają te właśnie słowa). Seria obejmuje popularne opracowania z dziedziny historii i kultury Polski, zawiera portrety szczególnych dla polskości miast oraz biografie wybitnych Polaków.

Oczywiste, że „Cracovia–Leopolis” patrzy na tę serię z punktu widzenia spraw, którym nasz kwartalnik jest poświęcony. Zrozumieliśmy więc, że z entuzjazmem powitaliśmy przed trzema laty ukazanie się książki wrocławskiego autora (którego tu reklamować nie będziemy) – o Kresach. Entuzjazm trwał jeszcze, gdy się tę książkę przeglądało: świetny dobór ilustracji i piękna szata graficzna (jak we wszystkich pozycjach tej serii – ale to nie zasługa autora). Rozczarowanie przyszło po przeczytaniu książki (skrytykowała ją nawet „Gazeta Wyborcza”) oraz rozszyfrowaniu intencji, jakie autorowi przyświecały przy podejmowaniu tematu. Poczuliśmy się oszukani, a *kropkę nad i* postawił wywiad, jakiego udzielił autor „Polityce” (nr 48/1995). Dodatkowym znakiem zapytania było dla nas przedrukowanie tej niesympatycznej rozmowy przez *Biuletyn Stowarzyszenia „Współnota Polska”* (nr 2/1996). Po co to zrobiono? Co chciano udowodnić Polakom od Wileńszczyzny po Pokucie? W jakim celu? To było równie obrzydliwe jak sam wywiad.

Ale szkoda czasu, to była tylko dygresja. Chcemy natomiast zwrócić uwagę na przyjemniejszą książkę z omawianej serii: *Język polski* autorstwa Anny Dąbrowskiej, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego (Wrocław, 1998). Jest to popularnie lecz oryginalnie potraktowane omówienie historii, struktury i stylistyki naszego języka, a także jego odmian – dialektów i gwar, wpływów (dwustronnych) i zapożyczeń.

Jest więc i o polszczyźnie Lwowa, który miał bardzo wyrazistą gwarę miejską (tylko Warszawa może się pod tym względem ze Lwowem równać). Autorka rozróżnia w lwowskiej polszczyźnie dwa rodzaje: *dialekt kulturalny*, którym posługiwała się inteligencja, oraz *gwarę miejską*, czyli *bałak* – oba miały naturalnie cechy wspólne.

Autorka wyjaśnia, że polski język literacki powstał zrazu przez połączenie dwóch dialektów: wielkopolskiego i małopolskiego (cechy wielkopolskie są w tym języku podobno bardziej wyraziste), później dochodziły do tego

właściwości innych regionów – w tym Mazowsza i Kresów (może raczej: Ziemi Wschodnich?), wzbogacając wspólną, ogólnopolską odmianę języka. Od siebie dodajmy, że wpływ polszczyzny Ziemi Wschodnich musiał być szczególnie w dziedzinie intonacji i akcentowania, równoważąc wpływy zachodnio-słowiańskie (czeskie?). Widać to dziś (czy raczej słychać) jak na dłoni, gdy ustały wpływy Ziemi Wschodnich (Lwowa i Wilna – dwóch spośród czterech – obok Krakowa i Warszawy – najważniejszych w czasach nowożytnych polskich ośrodków kultury) – zwłaszcza w radiu i telewizji. Ludzie starsi, przyzwyczajeni do języka przedwojennego, a nawet panującego jeszcze w latach 50. (mimo jego schamienia) – dziś zauważają jakby nawrót polszczyzny ku językowi czeskiemu, z którym wszak się rozeszła przed tysiącem lat. Chodzi głównie o nieznośne akcentowanie pierwszej sylaby.

Autorka podkreśla wkład Lwowa w badania językoznawcze. Wymienia najwybitniejszych uczonych z tej dziedziny, którzy byli związani z Uniwersytetem Lwowskim (A. Kalina, H. Ułaszyn, K. Nitsch, H. Gaertner, T. Lehr-Splawiński, W. Taszycki, Z. Stieber, J. Kuryłowicz, A. Gawroński). Na Politechnice Lwowskiej po roku 1871 – kiedy przywrócono tam polski język wykładowy w miejsce niemieckiego – opracowano specjalistyczną polską terminologię techniczną, której dotychczas w ogóle nie było.

Książkę uzupełnia świetny, sugestywny dobór ilustracji, a przy nich dodatkowe wyjaśnienia i informacje. Wszystko, jak zwykle, w niezwykle pomysłowym i pięknym układzie graficznym. To naprawdę dobra seria.

⇒ Nie było dotąd okazji wymieniania w tej rubryce ciekawego miesięcznika „Poznaj Świat”. Ale oto w nrze 9/97 znaleźliśmy wspomnienie prof. Jerzego Kondrackiego, który po 71 latach (!) znalazł się znowu w Czarnohorze (1926 i 1997) i konfrontuje wrażenia z tych odległych w czasie wędrówek. Dowiadujemy się przy okazji, że nie istnieje już wzniesione w latach 20. schronisko na Żaroślaku (pod Howerlą), a na tym miejscu Sowietci zbudowali brzydki dwupiętrowy blok hotelowy i halę sportową, a dojeżdża się tam samochodami (!). Tak lubiana i dobrze pamiętana przez dawnych turystów kolejka wąskotorowa z Worochty do Foreszczenki została rozebrana w latach sześćdziesiątych.

⇒ Z okazji 60. urodzin prof. Stanisława Mosakowskiego, dyrektora Instytutu Sztuki PAN w Warszawie (a urodzonego we Lwowie), wydano księgę pamiątkową pt. *Artes et Hu-*

maniora (wyd. Inst. Sztuki PAN, Warszawa 1998). Prof. Zdzisław Żygulski jun. zamieścił tam artykuł o odkrytym przez siebie w magazynach lwowskiego Muzeum Historycznego w 1989 r. obrazie *Bitwa pod Grunwaldem* Tadeusza Popiela i Zygmunta Rozwadowskiego. Plótno to wielkich rozmiarów pochodzi z Krakowa, lecz prawdopodobnie w 1939 r. zostało przed Niemcami wywiezione do Lwowa – i tam pozostało. W Krakowie było niedawno pokazane na wystawie *Sławne bitwy oręża polskiego* – pisaliśmy o tym w CL 2/97.

⇒ Wielu naszych Czytelników zna zapewne cotygodniowy dodatek kulturalny *Plus-Minus* do dziennika „Rzeczpospolita”, łatwo rozpoznawalny dzięki drukowi na kartkach w kolorze różowym. W dodatku tym spotyka się od czasu do czasu artykuły, które mogą nas zainteresować (przecież nigdzie i nigdy nie da się uniknąć problematyki Ziemi Wschodnich, tak mocno związanych z Polską, jej historią i kulturą). I tak w nrze 38/1998 znajdujemy artykuł prof. Włodzimierza Borodzieja: *Wygnańcy historii*, poświęcony wojennym i powojennym przemieszczeniom (we wszystkich kierunkach) Polaków i konsekwencjom tych tragicznych wydarzeń – zsyłek, deportacji, wyłapywania do niewolniczej pracy oraz wygnania. Artykuł jest rzeczowy i „sprawiedliwy”, niemniej trzeba zwrócić uwagę na mały, lecz istotny szczegół. Autor pisze, że w pierwszych, powojennych latach z terenów ZSRR przybyło ok. 2 milionów ludzi, z Niemiec wróciła podobna liczba, plus kilkaset tysięcy osób z innych krajów. Trzeba jednak sobie zdać sprawę, że z tych ostatnich niewątpliwie większość stanowili także ludzie z Ziemi Wschodnich – uprzednio wywiezieni na tereny rosyjskie, by przez Persję, Bliski Wschód (a po drodze Monte Cassino) trafić do Anglii; także poważny procent wracających z Niemiec jeńców, więźniów i przymusowych robotników to ludzie zabrani za okupacji niemieckiej z Ziemi Wschodnich. Dodajmy, że wśród Polaków pozostałych na Zachodzie (głównie w Anglii, potem także w USA i na całym świecie) większość stanowili urodzeni na ziemiach zabranych przez Sowieców, a potem psim swędem odziedziczonych przez postsowieckie państwa.

Prof. Borodziej uczciwie pisze o *niepolskiej przeszłości Wrocławia i nieukraińskiej przeszłości Lwowa* (w podobnym duchu wypowiedział się niedawno na tych samych łamach prof. Norman Davies). Jakże te myśli kontrastują z rozważaniami prof. Janusza Tazbira (też na „różowych stronach”), który dał w nich upust swemu zadowoleniu, że Polska pozbyła się wreszcie tych ziem...

⇒ Krakowski Okręg Wojskowy wydaje miesięcznik pt. „Refleks” – ciekawy i w doskonałej szacie graficznej. W nrze 2/1998 znajdujemy tam artykuł Ewy Skalskiej: *Spacer po mieście tysiąca lwów*. Mowa o wielu rzeczach: trochę o historii, o ulicach i gmachach, zabytkach i słynnych lokalach – Teliczkowej, cukierni Zalewskiego i „Szkockiej”. Także o lwowskich Polakach.

Szkoda tylko, że do tekstu wkradło się kilka błędów, w tym jeden haniebny. Czytamy: *Wiek XVIII, druga połowa lat 40., początek 50. Pośród spustoszonych przez Tatarów grodów ziemi czerwieńskiej Daniło, księżę halicki i wołyński, wznosi drewniany zamek na Górze Wysokiej, a pod nim zaczyna się organizować miasto [...] – tak zaczyna się historia jednego z najpiękniejszych i najstarszych miast Europy Wschodniej Lwowa*. I dalej:

*Późniejsze jego dzieje sprawiły, że na wiele lat, do końca II wojny światowej gród znalazł się w granicach Polski*.

Mój Boże, przecież Daniło założył swoją osadę o 500 lat wcześniej, w XIII wieku. Nb. owo jedno z najpiękniejszych miast powstało o wiek później, założone przez króla Kazimierza Wielkiego, a rozbudowywane i upiększane przez pokolenia architektów i artystów sprowadzanych przez polskich królów, magnatów i mieszkańców tego Grodu Rzeczypospolitej. Polskim miastem był Lwów od XIV wieku, przez sześć stuleci. Przykro więc, że młodym wojskowym czytelnikom tak pomieszano w głowach. Wygląda na to, że szkoda jest większa niż korzyść.

Błąd mniejszego kalibru: więzienie na Łąckiego, a nie *Łomskiego*. A ulica, którą się schodzi w dół, to też nie *Łomskiego*, lecz Leona Sapiehy (dziś nosi wredne imię *Bandery*).


(SSŁ)

Niniejszy numer  
CRACOVIA–LEOPOLIS  
został wydany  
przy pomocy finansowej

Wydziału Kultury Urzędu Miasta  
Krakowa

Wydziału Kultury i Turystyki Urzędu  
Wojewódzkiego w Krakowie

Reakcja składa podziękowanie  
w imieniu własnym i Czytelników



## Listy do redakcji

Korespondujemy ostatnio z p. prof. Tadeuszem Łodzianą, rzeźbiarzem zamieszkałym w latach powojennych w Warszawie. Profesor jest rdzennym lwowiakiem, rozmaitowanym w swoim rodzinnym mieście. Ma świetne rozeznanie w światku plastyków ze Lwowa rodem, przeto zapytaliśmy Go o różne nazwiska. Oto urywki z Jego listów:

*Postaram się napisać parę zdań o Danusi Tomaszewskiej, mojej nieco starszej koleżance po fachu. Pamiętam ją jako studentkę w Instytucie Sztuk Plastycznych we Lwowie, jako rzeźbiarkę pracującą przy konserwacji zabytków w Warszawie. Wyróżniała się urodą, elegancją, temperamentem – przecięt to lwowianka, nie inaczej. [...] O Danusi, z którą kontaktowałem się, i o Antku Biłasiu zmarłym w ub. roku artyście rzeźbiarzu-lwowiaku – wspólnie studiowaliśmy u M. Wnuka razem ze Staszkiem Sokalskim, o którym Pan wspomina – napiszę!*

*Otrzyma Pan wspomnienie o Adamie Smolanie, art.-rzeźb. urodzonym we Lwowie – profesorze Państw. Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Sopocie, asystencie prof. M. Wnuka. Dziekan, profesor tejże uczelni, mój kolega z Instytutu Sztuk Plastycznych we Lwowie.*

*Warto moim zdaniem zrobić wywiad z p. inż. arch. Krystyną Tołłoczko [...]. Była żoną inż. arch. prof. Józefa Różyskiego – opiekuna artystycznego Cm. Obrońców Lwowa i projektanta jego rozbudowy.*

*Również wywiad z p. Ireną Witwicką, żoną Janusza, inż. arch. zamordowanego bestialsko przez tzw. „nieznanych sprawców” we Lwowie w 1945 r. – twórcy panoramy dawnego Lwowa, która cudem uratowana, znajduje się w Muzeum we Wrocławiu. [...] Zamiaрем inż. Janusza Witwickiego (przez dwa lata okup. niemieckiej pracowałem przy panoramie) było umieszczenie modelu w Baszcie Prochowej – półokrągła budowla, kamienna [...] – obok II Budy gimnaz. na Wałach Gubernatorskich. Model miał być osadzony w okrągłym bębnie. Na tle ścian bębna namalował prof. Wł. Witwicki – ojciec Janusza, otaczające wzdó-*

*rza okolic Lwowa XVIII w. Taki model panoramy musiał Pan oglądać na ul. Ormiańskiej 23 w 1944 r.*

*Również znalazłem w antykwariacie pamiątki J. Witwickiego. Rodzina wykupiła i domyśla się, kto ukradł podczas pakowania panoramy we Lwowie. [...] Takie są losy pamiątek, rzeczy, gdy opuszcza się swoje gniazdo, rodzinne miasto, ojczyznę.*

Profesor Łodziana nadesłał nam też sporo zdjęć do redakcyjnego archiwum, m.in. fotografie Tadeusza Englerta, lwowskiego sportowca, o którym wspomnienie zostało zamieszczone w „Przeglądzie Sokolim”, załączonym do CL 4/97, a także kartkę pocztową z portretem Marszałka Piłsudskiego, malowanym przez prof. Pawła Gajewskiego z Państwowej Szkoły Technicznej we Lwowie (przy której był wydział plastyczny, zamieniony w czasie wojny na Instytut Sztuk Plastycznych). O prof. Gajewskim pisze prof. Łodziana, iż po wojnie... *był podobnie jak M. Wnuk profesorem w Szkole Sztuk Plastycznych w Sopocie. Ale zajmował się tkaniną – surowy, wymagający, poważny i mruk. Chodził we Lwowie w samodziałach, przez siebie tkanych [...].*

Pięknie dziękujemy za te ciekawostki. Oczekujemy na obiecane materiały.

Wzruszył nas serdeczny list p. Grzegorza Wieruszewskiego (zam. w Gnieźnie), w którym czytamy:

*Odpowiadając na Państwa pismo w sprawie nadplaty prenumeraty kwartalnika Cracovia–Leopolis pragnę poinformować, że wpłat tych dokonałem celowo, aby przeznaczyć nadwyżkę na działalność wydawniczą, ponieważ zdaję sobie sprawę z ciężaru kosztów, jakie Państwo ponosicie wydając to pismo. Pismo to jednak jest wydawnictwem bardzo potrzebnym, ponieważ wypełnia lukę informacyjną o dawnych Kresach Rzeczypospolitej i od nowa uczy nas historii Polski.*

Dziękujemy. Postaramy się nadal nie zawieść naszych Czytelników. Obecnie przygotowujemy numer specjalny o obronach Lwowa, zbiega się bowiem kilka okrągłych rocznic: 350, 150 i 80 lat – patrz IV strona okładki.

Pozdrawiamy wszystkich korespondentów i życzymy pogodnego (lecz nie przesadnie gorącego) lata.

Redakcja

## Spis treści

---

Barbara Czałczyńska	FELIETON O ORIENCIE	1
Elżbieta Mokrzyńska	MY I ORIENT	2
Alicja Małecka	PROFESOR TADEUSZ	8
Andrzej Pisowicz	SZEŚĆSET PIĘĆDZIESIĄT LAT ORMIAN POLSKICH	13
Archiwum	MAŁMAZJA [siedzi w CL 3/97 (11)]	7
Horacy Safrin	PRZY SZABASOWYCH ŚWIECACH	16
Bajka	Zdzisław Nowak O TURECKICH KULACH, KTÓRE DO CELU NIE DOLATYWAŁY	18
Rozmowy	Janusz Paluch ROZMOWA Z JERZYM HORDYŃSKIM	22
Wiersze	Jerzy Hordyński PORÓWNANIE ♦ SEMPER FIDELIS ♦ REHABILITACJA ♦ WSPOMNIENIE	27
Kazimierz Kuczman	ROZDÓŁ I KOMARNO WE WSPOMNIENIACH KAROLINY LANCKOROŃSKIEJ	28
Kraków we Lwowie	Nina Repetowska MOJE MARZENIE	30
Słownik geograficzno-historyczny	GOŁOGÓRY ♦ MIODOBORY ♦ OPOLE ♦ PODOLE ♦ WORONIAKI	31–43
Sylwetki	Irena Suchanek KRAKOWSKI EPIZOD W ŻYCIU JÓZEFA SWATONIA	33
	POKOLENIA I OJCZYZNY	34
	PROFESOR ANDRZEJ ŻAKI	37
Z tamtej strony	Andrzej Chlipalski, Jerzy Żuk RATUJEMY CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI	38
	Magdalena Paździora, Wiesław Krawczyński TRZECI MAJA W STANISŁAWOWIE	40
	WYDARZENIA	41
Polacy Polakom	Kazimierz Selda WSPÓLNOTA POLSKA '97	42
	DO ZAPAMIĘTANIA	43
W Krakowie i dalej	PO RAZ KOLEJNY...	44
Krystyna Stafińska	Z WIZYTĄ U STANISŁAWOWSKIEJ PANI	45
	ZŁOTY JUBILEUSZ KSIĘDZA JANUSZA	46
	NOTATKI	47
Kultura ♦ Nauka	Zdzisław Żygulski jun. DOKTOR H.C. BORYS WOŹNICKI	49
	ZE SZWAJCARII O ŚWIRZU	50
Antoni Amirowicz	ORMIAŃSKIE PAMIĄTKI	51
	VIVAT NOWY SĄCZ! VIVAT JERZY MASIOR!	51
	KRONIKA	52
Książki ♦ Czasopisma	Stefan S. Łukowski NOWE KSIĄŻKI	53
	Barbara Kraśnicka GŁOS MAŁEJ OJCZYZNY	57
	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	58
	Listy do redakcji	60
	KONKURS „MOJA ULICA, MOJA WIEŚ” ROZSTRZYGNIĘTY	III strona okładki

---

Na pierwszej stronie okładki: fragment planu Kołomyi – stan z lat międzywojennych.  
Opr. Bożena Krupska (Wrocław)



## KONKURS „MOJA ULICA, MOJA WIEŚ” ROZSTRZYGNIĘTY

Nasz konkurs na wspomnienia z obszaru Małopolski Wschodniej, który ogłosiliśmy w nrze 4/97 naszego kwartalnika, doczekał się finału. Wpłynęło osiem prac o różnej objętości (od kilku do pięćdziesięciu kilku stron maszynopisu, do niektórych dołączono planiki, zdjęcia, dokumenty). Wszystkie w zasadzie odpowiadały założonemu tematowi, choć niektórzy autorzy skupili się bardziej na sprawach własnej rodziny lub grona przyjaciół, niż otoczenia. Tym niemniej walory poznawcze w odniesieniu do świata, którego już nie ma, okazały się cenne.

Po przeczytaniu wszystkich prac przez członków Jury, które stanowiła Rada Redakcyjna CRACOVIA–LEOPOLIS, Jury zebrało się w dniu 15 maja (opóźnienie nastąpiło na skutek wyjazdu w maju dwóch członków. Przepraszamy za to!) Jako podstawowe kryterium oceny przyjęto przede wszystkim stopień zgodności z założonym tematem konkursu, a także wartości poznawcze prac.

Z uwagi na wysokie walory wszystkich prac, postanowiono zwiększyć liczbę nagród o jeszcze jedną III, a także liczbę wyróżnień powiększyć z 3 do 4. Jury wydało następujący werdykt:

I nagroda w wysokości 200 zł – p. **Alicji Michałowskiej**, zam. w Kraśniku Lubelskim,  
II nagroda w wys. 150 zł – p. **Tadeuszowi Krzyżewskiemu**, zam. w Krakowie,  
dwie III nagrody po 100 zł – p. **Klementynie Dominas-West**, zam. w Miliczu  
oraz p. **Zbigniewowi Harbuzowi**, zam. w Łobezie.

Wyróżnienia w formie książek otrzymali (alfabetycznie):

p. **Zofia Gądzińska**, Kraków  
p. **Maria Jordan**, Kraków  
p. **Marcjanna Szałęga**, Snowidza  
p. **Konrad Sura**, Kraków.

Wszystkim uczestnikom konkursu gratulujemy i serdecznie dziękujemy za ich ciekawe i wartościowe prace, które stanowią ważne dokumenty, zawierające unikatowe często materiały historyczne. Członkowie Jury wypowiedzieli się za kontynuowaniem tego rodzaju konkursów w przyszłości. Mamy zamiar zamieścić w naszym kwartalniku bodaj obszernie fragmenty nadesłanych prac. Natomiast oryginalne egzemplarze chcielibyśmy – po ich wykorzystaniu – przekazać do Instytutu Historii PAN.

W skład jury weszli: Janusz Paluch jako przewodniczący, Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Romana Machowska, Barbara Kościk, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka i Marta Walczewska.

---

### Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południow-Wschodnich

---

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościk, Janusz M. Paluch

Opracowanie graficzne: Bohdan Prądyński. Skład: FALL-Studio, Kraków

Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Barbara Kościk, Romana Machowska, Andrzej Olszewski, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Maria Taszycka, Marta Walczewska, Jacek Walczewski

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania skrótów. Artykułów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

---